Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 8 (1744) 23–29 lutego 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Ogórek ostatniej szansy

str. 6

Żywią i bronią

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl a131345924

WOJNA DOMOWA

Rolnicy wyszli na drogi w proteście przeciwko ukraińskiej żywności i europejskim reformom. Jeden miał ze sobą flagę ZSRR i prośbę o pomoc adresowaną do Władimira Putina. PSL czuje się wyraźnie speszony. Doktor nauk medycznych na etacie ministra obrony nie jest – mimo wysiłków – w stanie uciec od roli przewodniczącego partii ludowej. Władysław Kosiniak-Kamysz ogłosił zatem, że rząd ma brukselskie sukcesy negocjacyjne na odcinku odłogowania i środków ochrony roślin. „Dziękujemy rolnikom, że zwrócili uwagę" – powiedział przymilnie i dodał, że „chciałby bardzo prosić, żeby nie dochodziło do takich sytuacji jak te transparenty, które się pojawiły, dotyczące Rosji – to jest po prostu nie do zaakceptowania". Specyfika protestów społecznych polega na tym, że władza nie ma przywileju akceptowania wymierzonych przeciwko sobie transparentów. Minister Kierwiński tak nie uważa i zapowiedział ściganie.

Marszałek Hołownia postanowił być twardzielem i walnąć po kieszeniach posłów, którzy usiłowali zdobyć sejm, posługując się Wąsikiem i Kamińskim w charakterze taranów. Staranna analiza materiału dowodowego wykazała, że indywidualną maszyną oblężniczą okazał się też Antoni. „Zakładanie dźwigni nadgarstkowej w bardzo sprawny sposób strażnikom marszałkowskim, próba założenia nelsona i podduszania strażnika – to naprawdę świadczy o wysokich kompetencjach pana posła" – ocenił Hołownia, sugerując Macierewiczowi „powołanie parlamentarnego zespołu do spraw walki wręcz". Pogodny nastrój marszałka Hołowni nieco zburzył fakt, że na liście ukaranych znalazła się posłanka Sójka, którą Straż Marszałkowska pomyliła z posłanką Górską. Posłanka Sójka nie posiada się z oburzenia mimo kilkukrotnie powtarzanych przeprosin, co może mieć związek z faktem, że jest od Górskiej młodsza o dekadę. Choć podobne są jak dwie Barbie.

To nie koniec wydarzeń z Hołownią w centrum. Wirtualna Polska zainteresowała się niejakim Pablo Moralesem, który na swoim (obserwowanym przez Tuska, Budkę i Giertycha) portalu pisał, że Hołownia to idiota, narcyz, manipulator, tchórz, który rozpierdala opozycję i powinien się natychmiast zapisać do PiS-u. Okazuje się że Pablo to najprawdopodobniej Bartosz Kopania, dawny copywriter Grzegorza Schetyny, który dostał od PO 305 tys. zł za „analizy politologiczne". Zapytany o to Hołownia zareagował, nie wiedzieć czemu, anglicyzmem: „Czy pani chce mi zrobić dzień?" – zapytał, po czym wykazał wyższość: „Co ja mogę powiedzieć? Jeżeli ktoś za takie rzeczy płaci, to jest jakiś rodzaj frajerstwa, dlatego że na przykład PiS robi to zupełnie bezpłatnie i nie musi wydawać 300 tysięcy". Hołownia „po prostu się z tego śmieje", bo „to jakaś straszna bieda". Jaka bieda, jak ktoś ma do wywalenia trzysta kafli?

Hołownia znalazł się także na celowniku lewicy. Najpierw Włodzimierz Czarzasty ogłosił, że „ma już osobiście dość" tego, że Trzecia Droga blokuje liberalizację ustawy antyaborcyjnej i on „nie będzie brał za to odpowiedzialności". Hołownia mu na to, że „mówiąc delikatnie – mija się z prawdą, a nie owijając w bawełnę – kłamie". Po czym marszałek zasugerował, że lewica sama siebie blokuje, bo nie potrafi napisać porządnego projektu bez autopoprawek. To zabolało Tomasza Trelę, który zareagował gniewnym monologiem: „Ja sobie nie pozwolę na to, żeby pan marszałek obrażał moje koleżanki i moich kolegów, że coś żeśmy zaniedbali", po czym dodał wyniośle, że „na razie to pan marszałek jest debiutantem" i Trela proponuje, „żeby się pouczył trochę i douczył, jak wygląda system legislacji, bo takie połajanki to nie z nami te numery, panie marszałku". Poziom debaty parlamentarnej między budowniczymi demokracji nie zachwyca, choć – dla porządku – odnotujemy, że projekty lewicy dotyczące aborcji zostały złożone 13 listopada, a doręczone posłom z numerem druku 24 stycznia. Więc nieco racji z tym blokowaniem towarzysze mają.

Były pisowski minister zdrowia Jan Krzysztof Ardanowski, w 2020 r. wylany z rządu za głosowanie przeciwko piątce dla zwierząt, znowu bruździ prezesowi. Jarosław Kaczyński „nie ma pełnego rozeznania w złożoności polskich spraw", „jest dość skutecznie izolowany przez kierownictwo od faktycznych informacji", jego „podejmowanie decyzji w dużej mierze opierało się na nieprecyzyjnych danych, dostarczanych przez otoczenie". Jak tak dalej pójdzie, to PiS osunie się na pozycje „nieliczącej się partii geriatryczno-kanapowej". Kaczyński nie odniósł się wprost do wypowiedzi Ardanowskiego, ale wyraźnie postanowił udowodnić, że pozostaje w pełni sił, albowiem wtargnął do sali Kolumnowej na posiedzenie Zespołu Parlamentarnego Przeciwdziałania Bezprawiu pod patronatem Ordo Iuris i z głowy wygłosił dwudziestominutowy monolog, w którym wszystkie zdania były wielokrotnie złożone, a mimo to można były wyróżnić w nich podmiot i orzeczenie, a także to, gdzie się zaczynają i kończą. Prezes miał ewidentnie jeden z lepszych dni.

Ruszyła komisja śledcza ds. Pegasusa. W skład komisji wchodzi 11 posłów, w tym pięcioro należy do prezydium, z pozostałej szóstki czwórka to pisowcy. Na razie ustaleń brak, ale nerwowość już zapanowała. Szczególnie ujął nas poseł Ryszard Czarnecki z PiS, który wyznał w radiu, że zapytał wprost Mariusza Kamińskiego, czy był podsłuchiwany. Kamiński odrzekł mu na to: „Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo", co posła Czarneckiego w zupełności uspokoiło. Inni nie mają w sobie tyle wiary i czekają na ustalenia oparte na dokumentach.

Z URNY URBANA

Ciągnąca się wojna na Ukrainie, śmierć Aleksieja Nawalnego, amerykański wywiad Putina i zbliżające się wybory prezydenckie – Rosja wciąż jest w centrum światowego zainteresowania. Przypomnijmy, co o tym państwie i jego ludziach pisał Urban w lutym 2015 r. przy okazji dyskusji o obchodach rocznicy zakończenia II wojny światowej.

Chwała Rosji

Żadnemu państwu nie wolno dawać w mordę. Chyba że to jest nasze własne państwo. Nie wolno też opluwać żadnego narodu. Chyba że to jest nasz naród i tego wymaga jego zdrowie. W szczególności nie wolno wyrażać pogardy wobec Rosji, ponieważ jest nadwrażliwa. Powinno być bezlitośnie ośmieszane ocenianie zdarzeń przeszłych wedle dzisiejszych potrzeb politycznych. Polityka historyczna oznacza to samo co historia kłamiąca.

Wynika z tego, że cokolwiek działoby się na Ukrainie 9 maja tego roku, co najmniej przywódcy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Polski powinni zjawić się na paradzie w Moskwie i dziękować Armii Radzieckiej, która wzięła na siebie 70 proc. ciężaru w wojnie z Hitlerem. Wadliwe są więc pomysły, żeby koniec II wojny świętować na Westerplatte, jak chce Bronisław Komorowski, lub w Berlinie, jak pragnie roztropniejszy od prezydenta Adam Krzemiński. Ani nawet w Rio de Janeiro, gdzie jest najlepszy klimat do parad. Popierający PiS tygodnik „wSieci" (nr 6) drukuje zaś artykuł Łukasza Warzechy, który przekonuje, żeby do Moskwy nie jechać, bo tam polskich liderów traktuje się bez szacunku. Jeżeli – wywodzi – nie zorganizuje się obchodów poza Rosją, Moskwa przekona się, że ma przed sobą papierowego tygrysa. „wSieci" łowi się całe ławice takich idiotyzmów.

Po wkroczeniu w 1814 r. do Paryża Rosja nie miała już później fartu w wojowaniu. Przegrała wojnę krymską. Dostała w dupę od Japonii. Przegrała z Niemcami I wojnę światową, a potem wojnę z Polską. Przegrała w Afganistanie oraz zimną wojnę. Jedyną jasnością w jej wojowaniu jest wygranie II najcięższej wojny. Zwycięstwo to pozostaje dumą i spoiwem wszystkich Rosjan.

Politycznie też wiodło się Rosji nieszczególnie. Carat był anachronizmem i upadł w okamgnieniu. Demokracja ks. Lwowa i Kiereńskiego była krótka i słaba. Socjalizm zdegenerował się w stalinizm, a jego ustrojowe podstawy zachowały trwałość aż do czasów Gorbaczowa i Jelcyna. Imperium stworzone po 1918 r. i rozszerzone w latach 1944–1945 rozpadło się na początku lat 90.

9 maja 1945 r. każdy Rosjanin czuł się częścią składową i współtwórcą potęgi. Ta duma trwa, chociaż słabnie. Scala Rosjan ze sobą i z Putinem, który ją wyraża.

Polityka współczesnego władcy Rosji oparta jest na anachronicznych poglądach i ma przestarzałe cele: odzyskiwanie choćby części utraconego imperium. Tymczasem potęga dzisiejszych państw i dobrostan ludności nie zależą już od powiększania ich obszaru i liczby ludności. Związek Radziecki utracił swą tożsamość i imperium, ponieważ stał się ustrojowo i gospodarczo organizmem zacofanym. Nie stać go już było na utrzymywanie imperium. I nadal go nie stać! Mały Krym to już wielki ciężar.

Putin wygra dziś na Ukrainie i zapewne na długo uczyni z niej kraj upadły. Umocni swój protektorat na wschodzie tego kraju i zmusi Kijów do polityki à la Janukowycz, czyli do lawirowania między Moskwą a Zachodem.

Nie można się zakładać, czy, lecz wyłącznie kiedy Putin padnie pod ciśnieniem swej nierealnej polityki imperialnej, spadku cen ropy i gazu, kosztu zbrojeń, spadku wartości rubla. Już staje się niewygodny dla swoich oligarchów i rozrośniętej wpływowej warstwy funkcjonariuszy, ekspertów i drobnych biznesmenów. Polityka Zachodu, w tym wschodniego Zachodu (do którego należy Polska), skierowana być powinna na pośrednie osłabianie Putina, czyli adresowana do ludności rosyjskiej federacji. Sprzyjać ona musi odklejaniu się znaczących warstw społeczeństwa i aparatu władzy od osoby przywódcy.

Duma, godność, posiadanie szacunku zagranicy, a nie wyłącznie kurs dolara mają znaczenie dla anachronicznie myślącego społeczeństwa Rosji. Zachód powinien osłabiać Putina, pokazując jego społeczeństwu swoją przyjazną wobec Rosjan twarz. Nie nadeptywać Rosjanom na ich kompleksy i urazy. Okazywać troskę o pomyślną przyszłość Rosjan i ich kraju. Także przypominanie (jak chce Janusz Rolicki w „Wyborczej"), że rakiety z nuklearnymi ładunkami mogą latać w obie strony, służy odklejaniu Rosjan od Putina.

Cokolwiek działoby się na Ukrainie 9 maja, to właśnie w Moskwie Zachód musi więc oklaskiwać defilującą armię i cieszących się mieszkańców. W imię historii, ale także po to, żeby Putin nie mógł spajać społeczeństwa ze swoją władzą, upewniając je, że Zachód chce Rosjan poniżać, dręczyć i wyśmiewać. Niechaj 9 maja na placu Czerwonym świat święci zwycięstwo nad Hitlerem. Ukraina i Polska też, bo wyjdzie im to na zdrowie.

URBAN

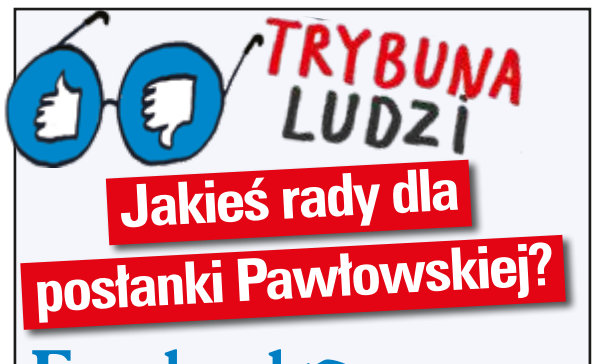

Jakieś rady dla posłanki Pawłowskiej?

Facebook

Maciej Dadej: Miłość do łupieżu wskazana.
Konrad Czerski: Brać kasę i się nie przejmować.
Maksymilian Boganow: Niech trzyma się ramy, to się…
Rafał Marszałek: Zawsze można zmienić partię, ma już w tym doświadczenie.
Eugeniusz Rezmer: Tylko poliamoria.
Bartosz Wadzyński: Zalecam wizytę u reumatologa: nadmierna elastyczność kręgosłupa moralnego.
Maciej Dadej: Zmiana płci, może prezes wówczas zaakceptuje.
Рад Резнор: Monia, Monia, dobra cena! Dołącz dzisiaj do Mentzena!
Blog Złego Ojca: Coco jumbo i do przodu.
Seb Kasak: To nie jest tak, że nie możesz dołączyć do Trzeciej Drogi, nawet jeśli dla ciebie to już jedenasta.
Andrzej Samira: Tylko krowa nie zmienia poglądów. Jeszcze kilka partii przed panią.
Olga Jastrzębska: Niech weźmie ślub z Rysiem Czarneckim, on też taki wędrowniczek, zmienił kilka partii, może niech założą jakieś doradztwo dla innych posłów dotyczące częstych zmian.
Magdalena Turek: Będzie siedzieć wśród pisowców, więc powinna oddzielić swoje miejsce parawanem z elementami elektrycznego pastucha.
Leszek Orłowski: Wystarczy nie kraść.
Ilona Be: A myślałam, że nie można mieć już bardziej gumowego kręgosłupa niż Gowin.
Andrzej Bazylczuk: Pamiętaj: kluby poselskie to nie pokemony. Nie chodzi o to, żeby zebrać wszystkie.

Forum

Tasman123: Z PiS przejść znów do Lewicy i tak w kółko…

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Pałac Prezydencki** z okazji Dnia Kota życzył wszystkim pupilom dużo głaskania. Głaskanie kota to pojęcie rodem z wojskowej fali.
- **Gumowa kaczka** została gadżetem reklamowym dzielnicy Żoliborz. Każdy ma takiego smoka, na jakiego zasłużył.
- **Protestujący rolnicy** pojawili się na placu św. Piotra w Watykanie. Żeby sobie Kościół o dziesięcinie nie przypomniał.
- Słynny jacht mający promować Polskę **I love Poland** został sprzedany. A nie można go było przerobić na ławeczkę patriotyczną?
- Prawicowi dziennikarze protestują przeciw zastraszaniu **reklamodawców TV Republika.** Niech się reklamują anonimowo!

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl a131345924

Betonowy odstrzał

Myśliwi wyklęci, lecz nieugięci.

Myśliwi dołączyli do protestów rolników – obwieściły media kilka dni temu. Jak twierdzą obie grupy protestujących, ich postulaty są zbieżne. Kolesie z dwururkami wręcz kreują się na obrońców wsi polskiej przed czyhającym zewsząd zagrożeniem ze strony dzikich zwierząt. Jasne, przecież jak Polska długa i szeroka, hordy zajęcy zżerają wszystką kapustę, jaka tylko zdoła wykiełkować, rozszalałe dziki, tocząc pianę z pysków, obracają uprawy ziemniaka w pył, a krwiożercze wilki pustoszą całe wsie. Gdyby Opatrzność nie zesłała nam myśliwych, polskiej wsi groziłyby głód i wyludnienie.

Jeszcze zanim myśliwi dołączyli do rolniczych protestów, władze Polskiego Związku Łowieckiego, zjeżone po cebulki sierści zmianami zapowiadanymi przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska, postanowiły ogłosić manifest. Z kilkuminutowego filmu opublikowanego w serwisie YouTube wynika, że PZŁ wylał dodatkową warstwę na beton swojej ignorancji i nie była to ostatnia kropla.

Wszyscy jesteśmy dzikami

Ministerstwo Klimatu i Środowiska ruszyło z kopyta i zapowiedziało długo wyczekiwane zmiany w łowiectwie. To odpowiedź na postulaty naukowców, przyrodników oraz organizacji społecznych; słowem wszystkich, którzy od lat zwracali uwagę na fakt, że mający monopol na prowadzenie polowań Polski Związek Łowiecki stał się źródłem patologii i kolesiostwa, które ma więcej wspólnego z ochroną własnych interesów niż przyrody.

Jakby mało było zasług, wielbicielom leśnych hobbystycznych egzekucji nie przysporzyło dobrego PR-u rzekomo omyłkowe strzelanie do przedstawicieli gatunku ludzkiego. Jak wynika z wyliczeń Lubelskiego Ruchu Antyłowieckiego, od 2003 r. do listopada 2023 r. życie z rąk myśliwych straciło 69 osób, a wyroki za te zabójstwa, jeśli w ogóle zapadają, są symboliczne jak skrucha plebana. Dodatkowo, w myśl obowiązującego w Polsce prawa, prywatnych działek, które znajdują się w obwodach łowieckich, nie można wyłączyć z polowania. Zatem jeśli obywatel kupi bądź odziedziczy działkę po fakcie ustalenia obwodu łowieckiego, a na swoim terenie spotka nieproszonych gości uzbrojonych w śmiercionośną broń, może co najwyżej ugryźć się w dupę. I to ze szczęścia, że nie został oskarżony o utrudnianie polowania, jeśli akurat kazał im wypierdalać z posesji.

Narrację myśliwych o gospodarce łowieckiej jako służbie społecznej wynikającej z obowiązku nakładanego przez państwo można spuścić w kiblu wraz z art. 43 prawa łowieckiego o polowaniach dewizowych. To płatne imprezy dla gości z zagranicy, w których przyjezdni mają wyznaczone stawki za zabicie bądź zranienie zwierzęcia. „Cudzoziemiec lub obywatel Polski, który przebywa z zamiarem stałego pobytu za granicą, niebędący członkiem Polskiego Związku Łowieckiego bądź niespełniający warunków określonych w art. 42a, może wykonywać polowanie po wykupieniu polowania u przedsiębiorcy, o którym mowa w art. 18, albo na podstawie zgody ministra właściwego do spraw środowiska” – głosi przepis. W praktyce każdy, kto ma tysiąc euro, może dostać broń do łapy i napierdalać w polską faunę, a trofeum zabrać do domu. Bez przygotowania, bez egzaminu i bez sensu. Lista absurdów jest długa.

Ministerstwo postanowiło przewietrzyć ambony.

Chwal ćwik

Mając na uwadze skalę rozpasania myśliwskiego lobby, projekt zmian zaproponowanych przez wiceministra klimatu i środowiska Mikołaja Dorożałę można uznać raczej za kosmetyczny niż rewolucyjny. Plany przewidują m.in. zmniejszenie odstrzału sanitarnego dzików, ograniczenie polowań zbiorowych, objęcie zakazem polowania niektórych gatunków ptaków czy ograniczenie polowań z użyciem noktowizorów. W reakcji – jak w dowcipie, o psie, który zjadł klopsa, a właściciel się rozdarł, jakby zginęła cała świnia – PZŁ podniósł kwik odwrotnie proporcjonalny do zapowiadanej utraty insygniów.

W piątek 9 lutego łowczy krajowy Eugeniusz Grzeszczak, prezes Naczelnej Rady Łowieckiej Marcin Możdżonek i wiceminister Mikołaj Dorożała spotkali się, żeby omówić te postulaty.

Grzeszczak i Możdżonek nagrali po spotkaniu wspólne wideo, na którym niemal wypowiedzieli wojnę resortowi klimatu. Obrona środowiskowego partykularyzmu utrzymana w konwencji orędzia do narodu potwierdziła, że tylko myśliwi potrafią tak strzelić sobie w stopę.

Na mchu jadali

Skonstruowane na bazie dialogu z wachlarzem środowisk, w tym naukowych, ministerialne postulaty przedstawiciele PZŁ szybko – bo już na początku filmu – określili mianem ataku środowisk nieprzychylnych łowiectwu. W zasadzie tym samym dając na wstępie świadectwo, że będą bronić patologii nawet za cenę autodestrukcji. Dalej było jeszcze gorzej.

„Postulaty zakazu polowań na wszystkie gatunki ptaków łownych pochodzą od Koalicji »Niech Żyją«, która jest pewną grupą światopoglądową i nie powinna mieć wpływu na decyzje jakże ważne dla ekosystemu, przyrody i środowiska łowieckiego z wielowiekową tradycją, liczącego 130 tysięcy członków” – mówił Grzeszczak i aż dziw, że z rozpędu nie pierdolnął o ideologii ekologizmu, bo zapachniało tym samym próchnem. Już trzy lata temu grono naukowców z Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Biologii Ssaków PAN, zrzeszonych w ruchu społecznym Nauka dla Przyrody, postulowało pilną i głęboką reformę łowiectwa, która powinna uwzględniać aktualną wiedzę na temat dzikiej przyrody, czyli krótko mówiąc, nie wybić wszystkiego, co żyje, dla krótkotrwałego wzwodu. Koalicja Niech Żyją!, owszem, zaapelowała o wprowadzenie zakazu polowań na 13 gatunków dzikich ptaków: trzy gatunki gęsi, cztery gatunki kaczek, dodatkowo łyskę, bażanta, kuropatwę, słonkę i gołębia grzywacza. Liczebność niektórych z tych gatunków drastycznie spadła w ciągu ostatnich dekad, m.in. wskutek nadmiernego faszerowania ich śrutem.

Marcin Możdżonek przeczytał z promptera, że masowy odstrzał dzików w ramach walki z ASF jest zgodny z wytycznymi Europejskiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa i Żywności. „Myśliwi jako jedyna grupa walczą z ASF i wydają na to własne środki finansowe” – wyrecytował z dumą. „Pierdol, pierdol, ja posłucham” – chciałoby się rzec. Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z 2022 r. podsumowała walkę myśliwych z afrykańskim pomorem świń. Głupio wyszło: według danych w latach 2019–2021 myśliwi zastrzelili ponad milion dzików (zarówno w ramach odstrzałów sanitarnych, jak i gospodarki łowieckiej), a jedynie 2,6 proc. miało tego syfa. Sensowność walki z ASF przez intensywne polowania jest, delikatnie mówiąc, szeroko krytykowana przez naukowców. Dlatego rozwiązania upatrują w bioasekuracji, a nie strzelaniu na oślep do ciężarnych loch czy masowemu przewożeniu cieknących trucheł zwierząt przez las. Z ustaleniami jajogłowych zgadza się nawet część środowiska łowieckiego.

Z miną świadczącą o ciężkim bólu moszny panowie myśliwi przyjęli informację o ograniczeniu polowań zbiorowych. Argumentując bezsens powyższego, zaparli się, jak mogli, pięcioma odnóżami, że polowania w niczym nie ograniczają dostępu do lasu obywatelom, a informacje o tym, kto gdzie strzela, są zawsze publikowane z wyprzedzeniem. O tym, jak łatwo wejść na teren polowania zbiorowego, nie mijając żadnej tabliczki, wie każdy, kto w lesie bywa bodaj po to, żeby się odsikać.

Żeby było mniej zabawnie, nie ma obowiązku zgłaszania polowań indywidualnych. Koła łowieckie prowadzą książki polowań, ale wnioskować o dostęp do tego dokumentu można już po fakcie polowania.

Przywracanie państwa myśliwym

Finalnym gagiem spotu, jeśli nie szczytem bezczelności, były gorzkie żale Grzeszczaka, że Polski Związek Łowiecki utrzymuje się z własnych środków. O, kurwa! Szacuje się, że przychody osiągane przez myśliwych z kół łowieckich oscylują w granicach 300 mln zł rocznie. PZŁ owszem, jest organizacją społeczną, która utrzymuje się ze składek członków, ale zrzeszone w nim koła łowieckie to już zupełnie inna para parostków. Koła PZŁ mają oddzielną działalność gospodarczą, NIP-y, księgowość, oddzielny budżet, a co najważniejsze – zyski. Te pochodzą zarówno ze składek członkowskich, jak i z wpływów ze sprzedaży tusz zwierzęcych czy organizacji myśliwskich jubli.

„Przywracamy państwo obywatelom. […] Dziś został skutecznie odwołany Łowczy Krajowy, działacz Suwerennej Polski (Paweł Lisiak – red.). Chciałbym, aby to był koniec ery politycznych nominatów na tym stanowisku. Chcę, by nowy Łowczy, którego wybierzemy po okresie przejściowym, został wyłoniony w drodze otwartego konkursu” – napisał na portalu X, wiceminister klimatu i środowiska Michał Dorożała 19 stycznia.

Coś chyba nie pykło, bo nowy łowczy krajowy Eugeniusz Grzeszczak to wieloletni polityk PSL i myśliwy z Koła Łowieckiego Bura Chata, które słynie z urządzania najkrwawszych polowań w regionie wielkopolskim.

„Bez odpowiedniej gospodarki łowieckiej zwierzęta by nas po prostu zjadły i byśmy mieli poważne, naprawdę poważne problemy. Tutaj nawet nie ma o czym dyskutować” – mówił w wywiadzie dla Sportowych Faktów Wirtualnej Polski świeżo upieczony nowy prezes Naczelnej Rady Łowieckiej Marcin Możdżonek.

Najbliższy czas pokaże, kto w układzie politycznych sił jest myśliwym, a kto zwierzyną.

Darz chuj!

IDALIA DUBICKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Patryka „Hatakumby” Jakiego przedstawiać nikomu nie trzeba. Gdyby kosmici chcieli sobie wyrobić opinię o ludzkości na podstawie wyników badań inteligencji europosła Suwerennej Polski, musieliby dojść do wniosku, że homo sapiens to gatunek schyłkowy, który niechybnie wyginie wskutek własnej durnoty.

Ostatni numer wykręcony przez Jakiego – w związku z Pegasusem – nie odbiega od tej normy żenującego braku rozumu. Zapytany w radiu RMF FM o to, dlaczego Zjednoczona Prawica inwigilowała swoich, Jaki popisał się logiką swawolnego Dyzia: „To, że ewentualnie byli podsłuchiwani jedni i drudzy, z tego i tego obozu, to raczej chyba dobrze świadczy o poprzednim obozie”.

To, że ewentualnie Jaki jest głąbem, raczej niedobrze świadczy o ludziach, którzy głosowali na niego w wyborach do europarlamentu. Za niespełna pół roku będą mogli dokonać korekty, pójść po rozum do głowy i wybrać kogoś innego.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl a131345924

GADMAN

Czy Kościół zostanie zbawiony?

Rys. WIDGET

„Wygramy te wybory” – przekonywał znajomy poseł z KO jeszcze przed październikowym głosowaniem. Swoje prognozy uzasadniał tak: „Znowu, po siedmioletniej przerwie, proboszczowie z mojego okręgu wyborczego zaczęli się ciepło publicznie ze mną witać. A nawet zapraszać na swe uroczystości. Znam dobrze tych pazernych sukinkotów i wiem, że oni zawsze wyczuwają nastroje elektoratu. Dlatego znów zaczynają się kleić do nas, zabiegać o naszą przychylność. Ale jeszcze nie wiedzą, że tym razem zanim dostaną od nas rozgrzeszenie, wcześniej przejdą dotkliwą pokutę”.

Polski Kościół katolicki przegrał ostatnie wybory parlamentarne. Po raz pierwszy w historii III Rzeczypospolitej. Do tej pory zawsze je wygrywał, bo w każdej koalicji dotychczas rządzącej hierarchowie polskiego Kościoła kat. mieli przynajmniej jednego swego „koalicjanta”. Nawet kiedy współrządził lewicowy SLD, to biskupich interesów pilnowało PSL. A i wielu ówczesnych lokalnych działaczy SLD też wojen ze swoimi wpływowymi proboszczami nie chciało.

Teraz polski Kościół kat. przegrał, bo dokonał złego wyboru. Popierał w nich jawnie jedynie Zjednoczoną Prawicę. A ta, choć zyskała w wyborach parlamentarnych najlepszy wynik, to władzę państwową straciła. Bo nie uzyskała większości w sejmie. I, co gorsza, nie miała chętnych do koalicyjnych rządów.

Kościół kat. przegrał wybory, bo jego biskupi popełnili podstawowe grzechy polityczne. Każda przezorna kokoszka na wszelki wypadek lokuje swe jajka w kilku koszykach. W ostatnich latach hierarchowie polskiego Kościoła kat. wszystkie swe aktywa powierzyli partii prezesa Kaczyńskiego. Zawarli z nią sojusz tronu i kropidła. A teraz stali się formacją opozycyjną wobec rządzącej Wielkiej Koalicji Październikowej.

Przegrał też Kościół prestiżowo. Do czasu październikowych wyborów parlamentarnych panowało wśród polskich polityków przekonanie, że bez poparcia biskupów i proboszczów Kościoła kat. nie da się uzyskać parlamentarnej większości. Nie da się rządzić.

Teraz się okazało, że nawet prawicowej formacji politycznej przydaje się w kampanii wyborczej antyklerykalna nuta. Bo teraz każdy antyklerykalizm jest politycznie trendy. Można na nim zyskać dodatkowe poparcie wyborców.

Grzechy główne

Polski Kościół kat. przegrał te wybory nie tylko dlatego, że ostentacyjnie zblatował się z kaczystowską Zjednoczoną Prawicą. Przegrał, bo stracił poważanie i autorytet wśród polskich wyborców. Nawet tych uważających się za katolików. Zniechęcił ich swym zakłamaniem.

Bo jego hierarchowie i proboszczowie co niedziela rytualnie warczeli na swe grzeszne owieczki, a sami prześcigali się w kultywowaniu katolickich grzechów głównych. Jawnie i ostentacyjnie grzeszyli pychą, chciwością, nieczystością, czyli hedonistycznym seksem, oraz zazdrością, nieumiarkowaniem w jedzeniu i piciu, gniewem i lenistwem.

Zwłaszcza lenistwem intelektualnym. Jeszcze 20 lat temu w polskim Kościele kat. istniały przynajmniej dwa jego nurty: ludowy, obrzędowy, bezrefleksyjny Kościół toruński i strojący się w intelektualne szaty Kościół łagiewnicki. Był w tamtym Kościele pazerny i pląsający ojciec dyrektor Rydzyk, ale też filozofujący ksiądz Tischner.

Dziś polscy katolicy mają do wyboru podszytego korupcją polityczną ojca dyrektora i prymitywną seksteologię abepe Marka Jędraszewskiego. Mają wybór między księżowską chciwością a księżowskim lenistwem umysłowym. A każdy produkt jest koloru czarnkowego.

Nic dziwnego, że taki polski Kościół kat. już lawinowo traci poparcie. Według przeprowadzonego jeszcze w 2021 r. Narodowego Spisu Powszechnego za katolików uważało się około 27 mln, czyli 71 proc. obywateli naszego państwa. Stworzony pod koniec XX w. przez prawicowe media mit 95-procentowego katolickiego narodu polskiego prysł ostatecznie.

Dodatkowo spośród tych 70 proc. zdeklarowanych katolików tylko ich 30 proc. regularnie uczestniczy co niedziela we mszy świętej. A do sakramentu komunii przystępuje co niedziela jedynie 14 proc.

Takie są oficjalne dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego.

To oznacza, że tylko co czwarty obywatel naszego państwa jest umiarkowanie praktykującym katolikiem. A jedynie co dziesiąty obywatel praktykuje tak, jak mu księża każą.

W ostatnich latach polski Kościół lawinowo traci też społeczne poparcie i znaczenie. Już nawet katolickie media zauważyły, że popularny sakrament pierwszej komunii jest dla wielu polskich dzieci dniem pożegnania się z regularnymi praktykami kościelnymi.

Coraz częściej owa komunia staje się raczej symbolicznym dniem przejścia ze stanu dziecięcego w stan młodzieńczy, taką polską bar micwą, niż realnym pogłębieniem religijności. Niewielu z tych pierwszych komunistów przystąpi potem do bierzmowania, czyli sakramentu uważanego za przejście w stan dojrzałego pełnego katolika.

Ogarnijcie się!

Zwycięska w wyborach Wielka Koalicja Październikowa zapowiedziała już pokutę dla kościelnych hierarchów. Za jej liczne grzechy nieczystych stosunków z elitami Zjednoczonej Prawicy nowa władza ograniczy Kościołowi kat. lekcje religii w szkołach.

Choć lewicowi kandydaci koalicji proponowali całkowitą likwidację lekcji religii, to ministra Barbara Nowacka zdecydowała się na taktykę krojenia salami. Najpierw redukujemy nauczanie do jednej lekcji w tygodniu, nie wpisujemy stopnia z religii na świadectwie, a decyzję o miejscu nauczania pozostawiamy rodzicom.

To może oswoić hierarchów z utratą wpływów na nauczanie, a nauczany nadal przedmiot uczyni dodatkowym, drugorzędnym, dobrowolnym, czyli skazanym na rosnącą niepopularność.

Więcej emocji wzbudzają postulaty wprowadzenia świeckiego postrzegania sfery naszej seksualności, czyli legalizacji aborcji, małżeństw jednopłciowych, równości wszystkich płci. Polscy biskupi mają istną obsesję na tym punkcie. Na szeroko przez nich rozumianej teologii nieczystości.

Wprowadzanie świeckiej seksualności przez nową władzę też pewnie odbywać się będzie stopniowo. Wielu parlamentarzystów Trzeciej Drogi (głównie z PSL) i Koalicji Obywatelskiej nie pójdzie na wojnę o seks z pruderyjnymi, zakłamanymi hierarchami. Zagrają na czas.

Zaproponują referendum w sprawie legalizacji aborcji, a ściślej – wielką narodową debatę o jego tematyce. Nie zgodzą się na szybką ustawową legalizację aborcji. Za to wstrzymają się w głosowaniu usuwającym karalność kobiet za zabieg aborcji. Wiedząc, że zwiększą tym szansę zwolenników niekaralności. Będziemy mieć nadal grzeszną i niemoralną aborcję, ale kary za nią już nie będzie.

Podobnie stanie się z antykoncepcją. Pigułki „przed” i „po” znowu będą dostępne bez recept, zwłaszcza w aptekach internetowych. Ale podobnie jak wódka, pewnie też nie będą mogły być otwarcie, legalnie promowane. Pełna wiedza o seksie będzie dostępna już w szkołach, ale na zasadach nauki religii. Jedna godzina w tygodniu, za zgodą rodziców, bez wliczania stopnia do średniej ocen.

Najtrudniej godzić się będą hierarchowie polskiego Kościoła kat. z redukcją sponsorowania ich z publicznych pieniędzy. Archaiczny Fundusz Kościelny zostanie pewnie zlikwidowany, bo nie jest już efektywny dla państwa i Kościoła kat. Przyszły spór toczyć się będzie o inne, znacznie wyższe dotacje. O ich nowy wyrafinowany system.

Polski Kościół kat. systematycznie traci wiernych, chętnych do stanu kapłańskiego i zakonnego, autorytet oraz szacunek obywateli. Jedyne, co mu jeszcze zostało, to dobra materialne i pieniężne. Przypomina dziś wielką, rozrośniętą korporację z ofertą akceptowaną jedynie przez starszych, wymierających klientów.

Idźcie tą drogą!

Dziś polski Kościół kat. przypomina mi Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą z końca lat 80. Miała ona też szlachetnie brzmiące hasła i nawet ciekawe, progresywne tezy programowe. Było w niej wielu wartościowych ludzi. Ale jako struktura, formacja polityczna stała się nieefektywna. Weszła w stan powolnego obumierania.

Polski Kościół może dalej egzystować jako polityczna przybudówka Zjednoczonej Prawicy. Radykalizować z nią swe postulaty, być Kościołem kilkumilionowej mniejszości. Kurczącej się z roku na rok.

Może też przeprosić nową władzę za grzechy popełnione ze Zjednoczoną Prawicą. Poprosić ją o rozgrzeszenie i pokutę. A potem ułożyć się z nową władzą na nowych warunkach. Oddać coś, by ocalić więcej.

Może też poszukać swego Rakowskiego, aby kazał wyprowadzić sztandar z martwej struktury. I potem za sprawą swego Kwaśniewskiego dla ludzi Kościoła poszukać nowego życia. W proch się obrócić i zmartwychwstać już dnia trzeciego.

Ale czy ktoś w tym Kościele jeszcze wierzy w cud zmartwychwstania?

PIOTR GADZINOWSKI

ETYKA BEZBOŻNA

Wylęknieni bluźniercy

Niedawno nasz ukochany prezes oświadczył, że sejmu w Polsce już właściwie nie ma i w ogóle dzieje się zupełne bezprawie, zamach stanu, któremu należy się przeciwstawić środkami nadzwyczajnymi. Poza tym Donald Tusk nie jest żadnym premierem niepodległej Polski, lecz narzędziem władzy niemieckiej w Polsce, a po prawdzie to hitlerowcem. Kaczyński opowiada takie rzeczy poważnie i można by się tego naprawdę bać, gdyby miał szanse powrócić na swój flejowaty tron w obskurnym bloczku przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie, skąd łącznie przez dekadę rządził naszą udręczoną ojczyzną. Na szczęście jest na tyle stary i sterany, że będzie już w tej norze siedział wyłącznie w roli zgorzkniałego byłego niezbawcy narodu, zanim ktoś go stamtąd wykurzy. Mimo to sprawa nieuznawania państwa i tworzenia sobie równoległego państwa w państwie pozostaje niebagatelnym politycznym i moralnym problemem.

Sprawa dotyczy bojkotu. Czy obywatel paskudnego państwa, którym rządzi paskudny reżim, jest zobowiązany to państwo respektować i uznawać jego władze, czy też czyni to wyłącznie pod przymusem? W autorytarnym ustroju właściwie wszystkie instytucje są narzędziem władzy dyktatora i jego partyjnej sitwy. Dlaczego światły i etyczny człowiek miałby być w takim państwie legalistą i szanować jego pozbawione majestatu, a często i bezprawnie uchwalone prawa oraz autorytarne, niesprawiedliwe zarządzenia? Chyba tylko z rozsądku i z obowiązku chronienia samego siebie i swojej rodziny przed represjami. Pewien stopień oportunizmu wynika bowiem z roztropności i odpowiedzialności za bliskich.

Jednakże zupełny legalizm w stosunku do nielegalnych instytucji i praw sam sobie przeczy. Oznacza bowiem przejście do porządku dziennego właśnie nad ich bezprawnością. Kto by w duchu legalizmu uważał trybunał Julki Przyłębskiej (tak się składa, że jesteśmy na ty) za prawdziwy Trybunał Konstytucyjny, ten raczej się ośmiesza, niż budzi szacunek swoim przywiązaniem do praworządności.

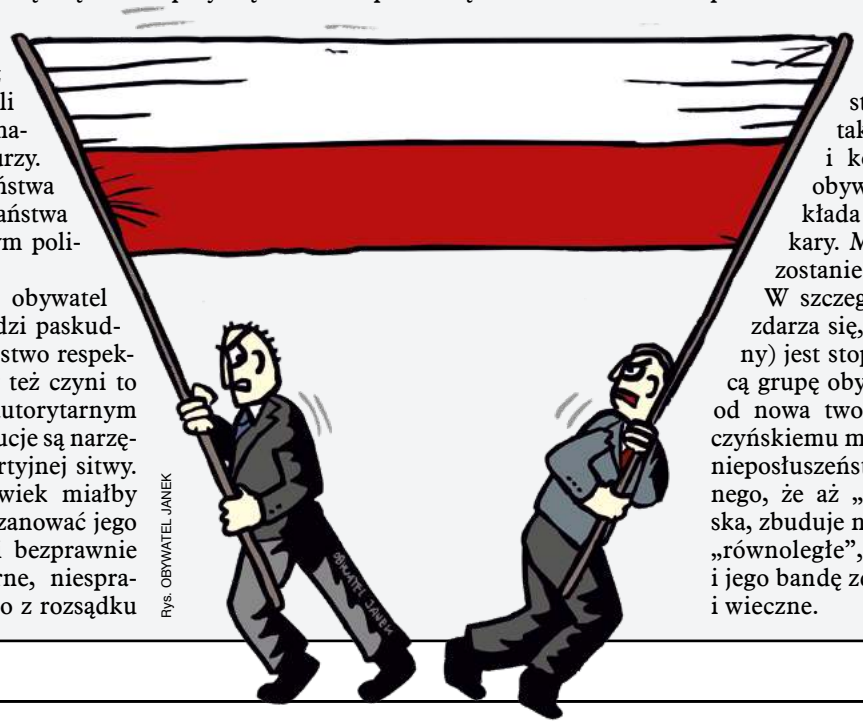
Rys. OBYWATEL JANEK

Rzecz jasna każde państwo czasami popełnia błędy i niesprawiedliwości. Nawet słabe i wysoce niedoskonałe państwo może jednakże oczekiwać od swoich obywateli posłuszeństwa stanowionemu przez siebie prawu i wydawanym zarządzeniom. Im bardziej jednak takie państwo jest dyktaturą, tym bardziej posłuszeństwo zgnębionych obywateli w legalizmie jedynie szuka dla siebie pozorów godności, gdy tak naprawdę opiera się na strachu. Trudno jednakże wskazać ten moment, w którym legalizm uznający niedoskonałości państwa przechodzi w tchórzliwy oportunizm. Trudno też ustalić, kiedy trzeba powiedzieć „dość” i zdecydować się na obywatelskie nieposłuszeństwo. W niektórych przypadkach taka decyzja może być ryzykowna i kontrowersyjna. Dlatego właśnie obywatelskie nieposłuszeństwo zakłada gotowość poniesienia za nie kary. Może jednak zdarzyć się i tak, że zostanie ono w przyszłości nagrodzone. W szczególnych i rzadkich przypadkach zdarza się, że reżim (na przykład kolonialny) jest stopniowo ignorowany przez rosnącą grupę obywateli, którzy organizują się, by od nowa tworzyć struktury państwowe. Kaczyńskiemu marzy się, że na gruncie masowego nieposłuszeństwa obywatelskiego, tak radykalnego, że aż „unieważniającego” państwo Tuska, zbuduje nowe państwo polskie – najpierw „równoległe”, a potem (gdy już wsadzi Tuska i jego bandę zdrajców do więzienia) już jedyne i wieczne.

Obywatelskie nieposłuszeństwo w wydaniu pozbawionego władzy PiS i jego przywódcy jest jedynie kpiną i parodią tego wzniosłego moralnego aktu. Upadła sitwa, która zawłaszczyła, zdegradowała i okradła państwo, stroi się dziś w piórka obrońców praworządności! To czysta kpina, cyniczne i nihilistyczne przedrzeźnianie walki przyzwoitych ludzi z dyktaturą, w tym również walki tysięcy Polaków z odrażającą i bezczelną kleptokracją PiS.

Błazeństwa Kaczyńskiego i jego ludzi mają jednakże drugie dno. Bo tak naprawdę gdzieś tam w głębi serca taki Kaczyński zazdrości demokratom ich wartości i niewinności. Chciałby, tak jak oni, być znowu kimś, kogo nie obciążają niezliczone łajdactwa oraz szalbierstwa i kto naprawdę walczy o „prawo i sprawiedliwość”. A że jest zupełnym i nienaprawialnym moralnym impotentem, zostaje mu jedynie parodiowanie opozycji. Te akcje pod TVP czy pod sejmem to coś takiego jak oglądanie pornosów i opowiadanie sprośnych dowcipasów przez niewyżytych obleśnych starców. Nic im już nie zostało poza udawaniem, że jeśli nie dziś, to w przeszłości mieli na skinienie palca tysiące omdlewających z nagle przebudzonej a niespodziewanej żądzy niewinnych dziewcząt.

Wiadomo nie od dziś, że nasz tygodnik czytany jest pod stołem przez pisowców i księży. To teraz specjalnie dla was: PiS i Kaczyński mają tyle wspólnego z walką o silne i demokratyczne państwo prawa co burdelmama i jej alfonsi z krzewieniem miłości między ludźmi. A wasze bluźnierczo górnolotne bunty przeciwko rządowi usiłującemu posprzątać ten wasz burdel tyle mają wspólnego z obroną prawa i demokracji co walenie łyżkami po miskach przez niezadowolonych ze swego wiktu stołowników więziennej kantyny. Jesteście tak żałośni, że aż śmieszni, i tak śmieszni, że aż żałośni.

JAN HARTMAN

eprasa.pl a131345924

W drugą rocznicę agresji Rosji na Ukrainę.

Wierzę w pokój

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Witold Jurasz to bardzo nietypowy członek komentariatu. Zanim został publicystą Onetu, był zawodowym dyplomatą, m.in. przez rok szefem placówki w Mińsku. Myślę sobie optymistycznie, że swój profesjonalny dystans i niechęć do strzelistych aktów sygnalizowania cnoty odziedziczył po ojcu, też Witoldzie Juraszu, który był ambasadorem PRL w Wenezueli, Nigerii i Iraku od końca lat 60. do zmierzchu Polski Ludowej.

Jurasz junior jako jedyny bodaj komentator mainstreamowych mediów odcina się od obowiązującej w Polsce histerii wieszczącej nam rychłą napaść Putina. Ostatnio popełnił bluźnierczą analizę zatytułowaną „Dziesięć powodów, dlaczego Polsce nie grozi wojna z Rosją". Jakkolwiek wnioski, które z niej wysnuwa, budzą niejakie moje wątpliwości – sama analiza godna jest uwagi.

Jurasz – to ważne w tym kontekście – w żadnym stopniu nie może być oskarżany o prorosyjskość. W świetnej książce o Białorusi, „Demon zza między", były chargé d'affaires w Mińsku wykłada filozofię swojej misji dyplomatycznej: zachować maksymalnie dobre relacje z Łukaszenką, żeby nie wpychać go w ramiona Rosji, którą Jurasz postrzega, nieoryginalnie, jako zło wcielone. Czy też – żeby zacytować książkę – nie dopuścić do przemiany Białorusi z „w znacznym stopniu uzależnionej od Rosji, balansującej na granicy pomiędzy miękkim autorytaryzmem a dyktaturą" w „całkowicie uzależnioną od Rosji twardą dyktaturę". Ten cel, jak wszyscy wiemy, nie został osiągnięty z wielu przyczyn, dla Białorusi tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Jedną z tych ostatnich, zdaniem Jurasza, była głęboka porażka polskiej dyplomacji prowadzonej przez „zawodowych wyzwolicieli Białorusi" pod dyktando ekspertów, którzy „zamiast zajmować się analityką, dają ujście swoim przekonaniom politycznym i moralnym". Książkę polecam przeczytać – swoją intelektualną niezależnością podnosi na duchu.

Wojny nie będzie

Wracając wszakże do dziesięciu powodów, dla których Putin nie napadnie Polski – pierwszy jest taki, że Rosja musiałaby wcześniej pokonać Ukrainę, na co się nie zanosi; równoczesny atak choćby na państwa bałtyckie wymagałby osłabienia frontu ukraińskiego, co Ukraińcy natychmiast wykorzystają. Punkt drugi i szósty to nierównowaga sił Rosji i NATO, tyleż militarnych, co ekonomicznych. Trzeci: niechęć kremlowskiej elity, którą Jurasz określa mianem „stowarzyszenia kleptokratów" do wszczęcia wojny nuklearnej, którą z kolei nazywa „rozszerzonym samobójstwem". Piąty i ósmy: USA, nawet pod przywództwem Trumpa, nie porzucą Europy Wschodniej, bo mają zbyt wiele interesów w naszym regionie, politycznych i stricte finansowych; muszą też dbać o swój wizerunek, żeby nie utracić wpływów w Korei Południowej, Japonii czy Arabii Saudyjskiej, które wobec zdrady USA zaczęłyby dążyć do własnej broni atomowej. Jest jeszcze kilka innych punktów, jeden szczególnie ciekawy: użycie OMON, czyli czegoś w rodzaju peerelowskiego ZOMO, w „specjalnej operacji" wskazuje, że Putin naprawdę nie spodziewał się pełnometrażowej wojny, myślał raczej o pacyfikowaniu protestującej ludności. Tymczasem atak na jakiekolwiek państwo NATO oznacza klasyczną wojnę od pierwszego dnia, a to Rosji słabo wychodzi.

W sumie, dowodzi Jurasz, „Rosjanie musieliby oszaleć, by zdecydować się na wojnę. Władimir Putin z całą pewnością jest zaś człowiekiem zdolnym i chętnym do mordu i pozbawionym jakichkolwiek zasad, ale absolutnie nic nie wskazuje na to, by miał być szaleńcem. Szaleńcami nie są też ludzie z jego otoczenia".

Głupi lud

W tym miejscu, po wylistowaniu tej racjonalnej argumentacji Witolda Jurasza, muszę niestety przejść do jego wniosków, które racjonalne mi się nie wydają. Otóż, wykazawszy w sposób wysoko przekonywający, że napaść Rosji nam nie grozi, Jurasz de facto wspiera wojenną histerię. „Większa świadomość zagrożenia ze strony Rosji może skutkować ambitnym programem zbrojeń, które ryzyko ewentualnej konfrontacji z Moskwą minimalizuje" – zauważa, po czym zakopuje się głębiej, dystansując się od własnej opinii, a przy okazji oskarżając społeczeństwo o głupotę i lenistwo: niestety „opinia publiczna co do zasady preferuje rozwiązania proste i szybkie, a nie takie jak zbrojenia, które wymagają wyrzeczeń". Po czym szacowny Autor dodaje z pogardą, że lud jest głupi, a przywódcy nie potrafią wziąć go za ryj: „opinia publiczna i politycy, którzy w znacznym stopniu stracili niestety zdolność do przewodzenia ludowi i zamiast tego wybierają podążanie za ludem, skłonni są – byle tylko »uniknąć wojny« – układać się z Rosją, a nie przeciw Rosji zbroić".

Zadziwiający jest – u racjonalnego analityka – ów drwiący cudzysłów wokół „uniknąć wojny". Jakby uniknięcie wojny było czymś głupim i nieprzystojnym, zasługującym na ironię. Zadziwiająca jest dezaprobata dla „podążania za ludem" – niektórzy nazywają to demokracją. Ale jeszcze bardziej zaniepokoiła mnie pochlebna fraza o rozwiązaniach, które „wymagają wyrzeczeń". Tak się jakoś składa, że kiedy polityczne i intelektualne elity zaczynają mówić o wyrzeczeniach, to nigdy nie wymagają ich od siebie, ale zawsze od tych na dole drabiny społecznej, żyjących ze sprzedawania swojej pracy, polegających na państwie i jego polityce społecznej.

Zagłuszanie

„Może zamiast z dumą ogłaszać, że zwiększymy wydatki wojskowe do rekordowego w NATO poziomu, wezwać innych do zahamowania militarnego szaleństwa i odwrócenia dotkliwej dla ludzkości spirali zbrojeń? Mniej ludzi będzie cierpieć i ginąć; na Ukrainie też" – pisał rok temu w pierwszą rocznicę wybuchu wojny Grzegorz Kołodko. „Wymaga to skutecznego stawienia czoła wojennym awanturnikom oraz interesom kompleksu militarno-przemysłowego po obu stronach konfliktu, wraz z jego politycznym i medialnym zapleczem, oraz odsunięcia od władzy pozbawionych wyobraźni i nieodpowiedzialnych polityków, którzy nieustannie podgrzewając atmosferę zimnej wojny, prowadzą do wojny gorącej. I wtedy – tak, będą mieli argumenty, że słusznie się zbrojono, nie marnując pieniędzy a to na podwyżki dla nauczycieli czy stypendia studenckie, a to na lepsze wynagradzanie lekarzy, pielęgniarek czy artystów i ludzi kultury"…

Dziś, w drugą rocznicę wybuchu wojny, militarystyczny szał, który opanował polskie i europejskie elity, ciągle jeszcze zagłusza wątpliwości płynące od ludu.

Choć nie jest już w stanie zagłuszyć np. rolników – to owocuje swoistą schizofrenią w oficjalnej narracji: Ukraińcy przelewają krew za naszą wolność, nie ma nic ważniejszego na świecie, ale embargo na ukraińską żywność jest niezbędne. Zapewne minie jeszcze trochę czasu, zanim gospodarka, a wraz z nią inni niż rolnicy i przewoźnicy obywatele, odczują koszty wyścigu zbrojeń i naszej absurdalnej ambicji bycia prymusem.

Może wtedy, ku głębokiej dezaprobacie redaktora Jurasza, politycy podążą za ludem i przypomną sobie tę prostą prawdę, że każda wojna kończy się przy stole rokowań.

Tak, wiem, że narażam się – po raz kolejny – na zarzuty bycia ruską onucą, agentką wpływu Rosji, pożyteczną idiotką Putina i pogrobowcem układu monachijskiego 1938. Cóż mogę powiedzieć: czasami warto narazić się dla czegoś, w co się wierzy.

Ja na przykład wierzę w pokój.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Przybywa obiektów wojskowych, tak mi się przynajmniej zdaje. Na mojej drodze do roboty, którą pokonuję od 20 lat, pojawiły się już trzy. Jak przypuszczam, owe obiekty zawsze były wojskowe, tyle że nikt o tym nie wiedział. Teraz już wiedzą wszyscy, ponieważ na każdym pojawiła się tablica w czterech językach, że jest to obiekt wojskowy i zakazuje się go fotografować. Trudno o lepiej zorganizowaną dekonspirację.

▮ 27,3 mld zł wyniósł zysk sektora bankowego w 2023 r. według danych Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. To najlepszy wynik w historii Polski. Sektor bankowy zarobił w minionym roku więcej niż w czterech poprzednich latach razem wziętych. Jest to rezultat zbyt wysokiego, krzywdzącego pożyczkobiorców oprocentowania kredytów. Nieadekwatnego do wskaźników ekonomicznych stóp procentowych ustalanych przez Radę Polityki Pieniężnej. Błąd systemowy zasadza się na tym, że banki oprocentowanie kredytów ustalają między sobą nawzajem, a nie z ich klientami.

▮ Na ul. Legnickiej we Wrocławiu zderzyły się dwa uprzywilejowane pojazdy. Przywilej jednego wynikał z prerogatyw władczych, a drugiego z niekompetencji. Znaczy radiowóz jadący na sygnale zajechał drogę hyundaiowi prowadzonemu przez kursanta ze szkoły jazdy. Nie wiadomo, kto był winny. Strony spierają się o to, czyj przywilej był ważniejszy.

▮ Prof. Tadeusz Mizera z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu alarmuje: wróble pospolite przestają być pospolite, a stają się egzotyczne! W ostatnim ćwierćwieczu populacja polskich wróbli spadła o połowę albo i więcej. Zagłada wróbli spowodowana jest postępem cywilizacyjnym, który profesor określa jako „porządek". Trawniki są starannie skoszone i zagrabione, zanim rośliny wykształcą nasiona, a wróble zdążą się nimi najeść. Śmieci trzymane są w workach. Ptaki nie mają do nich dostępu. Zanieczyszczenie powietrza sprawia, że ubywa owadów stanowiących naturalną dietę wróbla. Domy budowane są zbyt starannie, w związku z czym ptaki nie mają gdzie gniazdować. Pomysłem profesora na rozwiązanie tej ostatniej kwestii jest, żeby każdy nowo budowany budynek poddawany był ekspertyzie ornitologicznej. Nadzór budowlany miałby badać, czy oprócz ludzi mogą mieszkać w nim wróble i papugi.

Rys. TOMASZ WIATER

▮ Zakład Porcelany Stołowej Karolina w Jaworzynie Śląskiej produkujący zastawę stołową od 1860 r. już jej nie produkuje. Wyprzedawane są zapasy magazynowe. Obecny właściciel HM Investment sp. z o.o. 240 pracowników wysłał na postojowe „ze względu na złożony wniosek upadłościowy". HM Investment była też właścicielem marki Gerlach robiącej noże, łyżki i widelce do 2012 r., a potem już nie. Zasadniczą przyczyną problemów zakładów porcelany i sztućców są zmiany cywilizacyjne. Jak wiadomo, Polacy nie potrzebują już talerzy ani widelców, ponieważ powszechnie spożywają obiady rękoma z liści sałaty. Supozycje, że do upadku obu przedsiębiorstw przyczyniła się głupota ich zarządów, są błędne i nie polegają na prawdzie.

▮ Ornitolodzy zrzeszeni w Grupie Badawczej Bociana Białego utrzymują, że bociany już lecą do Polski. Informacje czerpią z nadajników GPS, w które został wyposażony ów latający drób. Polskie bociany miały już opuścić Afrykę Południową. Przy średniej prędkości przelotowej 12 km na godzinę należy się ich spodziewać w Wołominie za jakieś 45 dni. Czyli w okolicach 1 kwietnia.

▮ 12 lutego pracownicy Nadleśnictwa Parciaki (Mazowieckie) znaleźli w lesie balon w kształcie łabędzia. Z doczepionej kartki wynikało, że wypuściła go w dniu ślubu 16 czerwca 2022 r. młoda para ze Szwecji. Łabędź balon pokonał zatem 900 km w 606 dni. To jest 1 rok, 7 miesięcy i 26 dni. Frunął zatem ze średnią prędkością 1,5 km na dobę. To dowodzi, że łabędzie w porównaniu z bocianami są kiepskimi lotnikami.

▮ Kontrolerzy MSWiA odtworzyli przebieg wydarzeń z 14 grudnia 2022 r. Generał Szymczyk zjawił się rano w komendzie. Po przejściu przez sekretariat i swój gabinet poszedł przebrać się do pomieszczenia na zapleczu. Tam podniósł leżący na kanapie granatnik. Postawił go na podłodze. Wtedy doszło do jego odpalenia. Pocisk granatnika uderzył w sufit, a później wybił dziurę w podłodze. Ponieważ głowica bojowa pocisku nie zdążyła się uzbroić, nie doszło do jej wybuchu. Komendant otrzymał granatnik od kierownictwa ukraińskiej policji i służby ds. sytuacji nadzwyczajnych. Remont gabinetu komendanta kosztował 17 tys. zł. Sam komendant nie nadawał się do remontu.

▮ Policjanci z gdańskiej komendy miejskiej udzielili pomocy 48-letniemu cudzoziemcowi, który zasnął w pojeździe rasy smart stojącym przed sygnalizatorem świetlnym na ul. Wały Jagiellońskie. Kierowca tłumaczył, że interwał zmiany świateł z zielonego na czerwone był tak długi, że znudzony zapadł w drzemkę. Policja jednak utrzymuje, że przyczyną senności był alkohol w stężeniu 2,2 promila, który via usta dostał się do krwiobiegu cudzoziemca. Cudzoziemiec nie był z Niemiec.

▮ Dzięki natychmiast podjętym czynnościom lubelscy policjanci zatrzymali 39-letniego Miltona M., obywatela Zimbabwe, który upił, a potem wykorzystał seksualnie 15-letnią córkę swojej przyjaciółki. Milton utrzymuje, że nie przyznaje się do wykorzystania, bo korzyści wykorzystywanej były większe, niż przypuszcza prokuratura.

RJ

PS Informacje pozyskano z prasy lokalnej jako potencjalnie zajmujące dla szerokiej opinii publicznej, co jednak nie znaczy, że muszą być absolutnie prawdziwe. Nie dajemy gwarancji. Nie bierzemy odpowiedzialności.

eprasa.pl a131345924

Jak spacyfikować Putina.

Ogórek ostatniej szansy

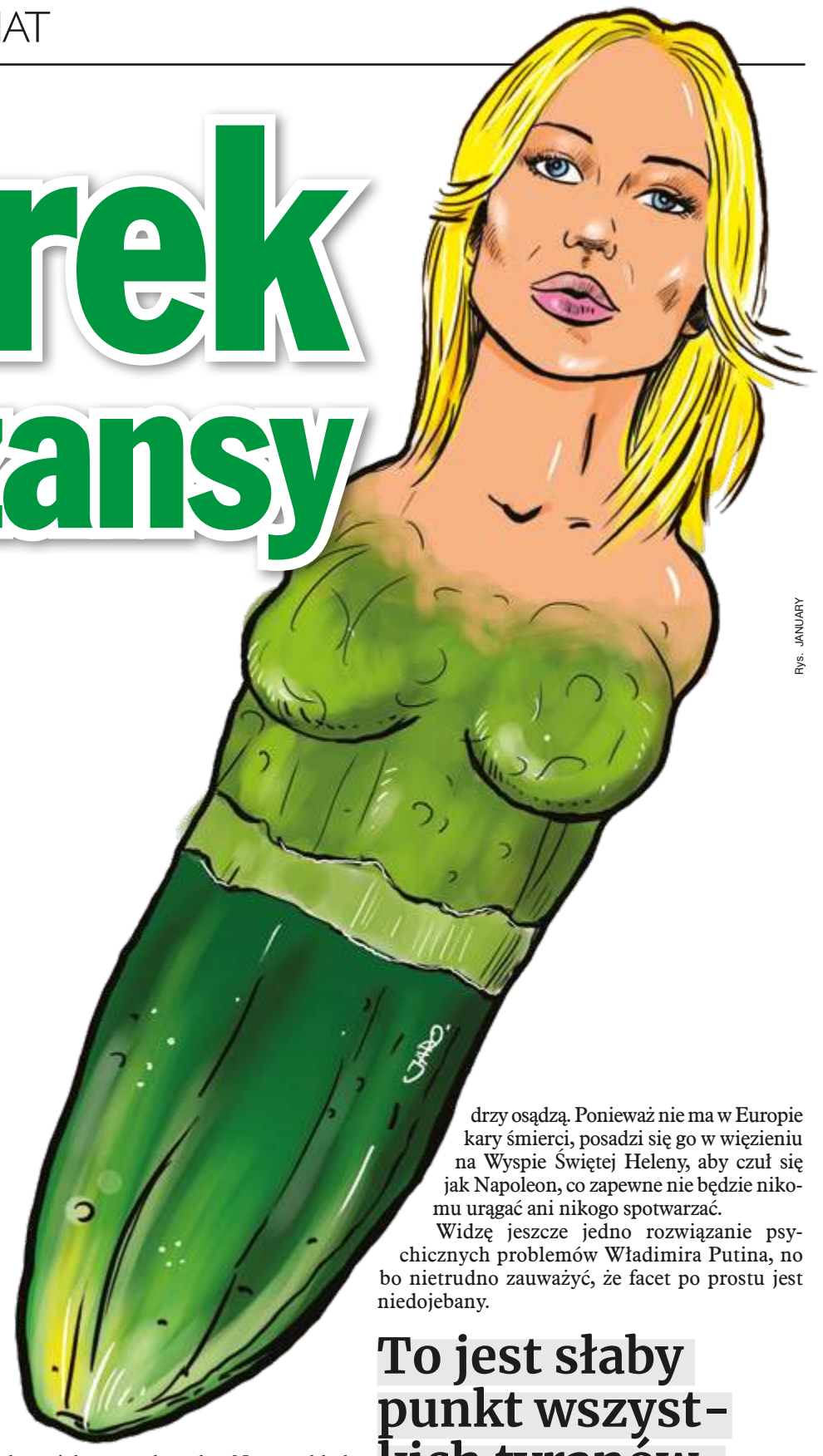

Rys. JANUARY

Wojna na Ukrainie trwa dwa lata. Ukraińcy twierdzą, że zabili 400 tys. Rosjan. A Amerykanie – że Rosjanie zabili 170 tys. Ukraińców. Razem to 570 tys. ludzi – więcej, niż mieszka w Poznaniu. Codziennie przybywa 800 trupów po obu stronach. Są to czyiś ojcowie, bracia, mężowie. Kierowcy, robotnicy budowlani, sprzedawcy, nauczyciele, lekarze, programiści, rolnicy oraz zawodowi żołnierze, których żałować należy najmniej. Koszty szacowane są na 560 mld dol. po obu stronach razem wzięte. Rosja wydała na wojnę 211 mld dol. Natomiast majątek narodowy netto Ukrainy (wszystkie ziemie, budynki, drogi, fabryki, własności prywatne) szacowany jest na 679 mld dol. Z tych kalkulacji wynika, że zamiast rozpoczynać wojnę, Putin mógłby jedną trzecią Ukrainy po prostu kupić, co w krajach, gdzie korupcja jest cnotą, byłoby opcją niespecjalnie szokującą. Terytoria sporne, które obecnie nie mają żadnej wartości gospodarczej, po cenach ziemi warte są jakieś 14 mld dol.

Gdyby Putin myślał pragmatycznie, a Zełenski jednak nie chciał mu sprzedać, mógłby sobie rosyjski prezydent za te 211 mld dol. kupić całą Kostarykę – tam takie rzeczy są możliwe. Przyłączyć ją do Federacji Rosyjskiej. Wówczas, będąc prezydentem Kostaryki, mógłby zmienić nazwę stolicy kraju San José na np. Kijów, a największą aglomerację Puntarenas przemianować na Lwów. Ba, nawet cały kraj nazwać Nową Ukrainą albo jakoś tak.

Rojenia Putina

Ale nie! Putin, wysyłając na śmierć codzienną kilkuset swoich braci Rosjan, robi to dla podniesienia bezpieczeństwa i potęgi Rosji. Z każdym trupem i spalonym czołgiem to bezpieczeństwo maleje. Produkcja przemysłowa przestawiana na cele wojenne zubaża Rosję. Rozszerza połacie ubóstwa, które i tak były niemałe. Biedę w Rosji znosiło 14 mln obywateli. Zdaniem Putina NATO niepotrzebnie się obawia Rosji. Powinno wycofać swoje armie na granice z roku 1997. Zapewne Polska, Czechy, Węgry, Słowacja i Bułgaria po prostu powinny wypisać się z NATO. Bezpodstawne są też obawy krajów nadbałtyckich, że mogą być zaatakowane przez Rosję, albowiem – jak powiedział przecież minister Ławrow – „wojna nigdy nie wyszła z ziemi rosyjskiej". W dwa dni po tej wypowiedzi rosyjskie czołgi ruszyły na Kijów. Warunkiem kluczowym pokoju jest oczywiście wycofanie się Ukraińców z terytoriów spornych, na których powstały wszak już autonomiczne miejscowe rządy, a Putin im tylko pomaga.

Nonsensy i absurdy

Równie zdumiewające pomysły na zakończenie wojny ma prezydent Zełenski. Jego zdaniem sporne terytoria powinny pozostać w granicach Ukrainy. Rosja ma wypłacić za zniszczenia odszkodowanie w wysokości 380 mld dol. Zbrodniarze wojenni mają być osądzeni i skazani na śmierć. I zapewne rozstrzelani przez swoich dowódców, których rozkazy wypełniali. Na razie reszta świata powinna pożyczyć Ukrainie na wieczne nieoddanie jakieś 100 mld dol. w żywności, samolotach i amunicji, no bo Ukraina nie może przegrać. A poza tym jest państwem samostanowiącym i od nikogo nie może być zależna.

Jeżeli chodzi o resztę świata, znaczy państwa NATO – czyli nas również – to nam się wydaje, że uzyskamy bezpieczeństwo, rozkręcając produkcję zbrojeniową. „Armaty zamiast masła" – jeszcze po raz kolejny nikt tego nie powiedział, ale to jest kwestia kolejnego roku. Jak Putin zobaczy przy granicach te koreańskie haubice, rura mu zmięknie, a strach sparaliżuje, przez co nigdy nas nie zaatakuje. Donald Tusk postawi na wschodnich rubieżach ogrodzenie z grubszej blachy i bardziej kłującego drutu kolczastego. Aby wpłynąć na wydarzenia w Rosji, trzeba jeszcze bardziej się od niej odciąć. Przez to, co pewne, Rosjanie nas bardziej pokochają.

Ukrainie cuchnie z ust

Nie można też nie zauważyć, że obecna sytuacja jest wszystkim głupim Europejczykom bardzo na rękę. A cyniczne stwierdzenie, że o wolność Europy walczyć będziemy do ostatniego Ukraińca – jak najbardziej zasadne. Zwłaszcza, że miłość do Ukraińców słabnie. To wyraźnie widać w sklepach Lidla, gdzie wystawiane są kosze na dary. Kiedyś był tam dobrobyt jak w czasach PRL w Pewexie. Teraz wala się jakieś pudełko kaszy pęczak, podpaski, a nawet widziałem prezerwatywy. Ten ostatni podarunek uznałbym jednak za nieco obraźliwy. No ale cóż za niewdzięczność nas spotkała. My ich przyjęliśmy pod swoje dachy. Zasiłki daliśmy i czołgi w prezencie, a oni nam teraz zatrutym (rzekomo) zbożem i zgniłymi (rzekomo) malinami chcąc zdestabilizować rolnictwo. Nie jest to nasza wina, że 547 polskich firm kupiło ukraińskie zboże za 5,5 mld zł. Gdyby Ukraińcy nie sprzedawali po cenach dumpingowych, toby nie kupowały.

Widmo wojny

Powyższe pozbawione jakiegokolwiek realizmu banialuki opowiadane są przez szanujących się ekspertów z całą powagą. Powoli dopuszcza się już – nie do pomyślenia jeszcze rok temu – opcję atomową. Może być to dla Polski o tyle niekorzystne, że Rosjanie zaorają grzybami atomowymi najpierw Białystok, Rzeszów i Warszawę, aby swobodnie mogły przejechać po nich rosyjskie czołgi w drodze na Berlin. Następnie Amerykanie zaorają te rosyjskie czołgi uzupełniające wodę w chłodnicach nad brzegami Bugu i Wisły, wybierając po prostu mniejsze zło. Amerykanie są ekspertami w prawidłowych wyborach. Mniejszym złem jest zawsze to, co dla Ameryki jest większym dobrem.

Aleksander Kwaśniewski stwierdził w miniony piątek szaleństwo u Putina. To w sytuacji, kiedy może on liczyć na 70-procentowe poparcie w wyborach prezydenckich, które odbędą się w Rosji za miesiąc, oznacza, że zwariował niemal cały naród. Putin jest projekcją pragnień, ambicji i wyobrażeń Rosjan o nich samych. Tak jest: choroby psychiczne, podobnie jak większość innych, mogą mieć charakter epidemiczny. Hitleryzm był chorobą duszy narodu niemieckiego, który uwierzył, że składa się z nadludzi w przeciwieństwie do untermenschów, których można zabijać, bo tak się dzieje w całej naturze. Bierzcie przykład ze zwierząt – wmówił im Hitler. Silniejsze zabija słabszego. Zadziałało.

Nobel i ogórek

W sytuacji, kiedy wojna nuklearna wydaje się logicznym rozwiązaniem, a zdrowy rozsądek w ogóle przestał się liczyć, być może trzeba iść w kierunku większego absurdu. Na przykład przyznać Putinowi Pokojową Nagrodę Nobla. Skoro uwierzył, że Kijów zajmie w siedem dni i witać go tam będą naręczami goździków, dlaczego miałby nie wziąć za prawdę, że Norweski Komitet Noblowski przyznał mu złoty medal za działalność pokojową (jeżeli trzeba, napiszę uzasadnienie, w które sam rosyjski prezydent oraz jego doradcy uwierzą raz-dwa).

Oslo jest w Norwegii, a Norwegia jest sygnatariuszem Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze, który wysłał za Putinem list gończy i nakaz aresztowania. Norwegowie dopadną ruskiego w drodze do własnej ambasady. Holendrzy osądzą. Ponieważ nie ma w Europie kary śmierci, posadzi się go w więzieniu na Wyspie Świętej Heleny, aby czuł się jak Napoleon, co zapewne nie będzie nikomu urągać ani nikogo spotwarzać.

Widzę jeszcze jedno rozwiązanie psychicznych problemów Władimira Putina, no bo nietrudno zauważyć, że facet po prostu jest niedojebany.

To jest słaby punkt wszystkich tyranów, którzy z braku tych spraw seksualne chucie kanalizowali w masowych morderstwach.

Gdyby tak codziennie jakaś nimfomanka zaspokoiła Putina ustami, potem jakiś anal i przyjęcie ejakulacji na twarz? I bombardowanie miłością: „Jaki ty, Wowa, jesteś mądry, jaki przystojny i wysportowany, jak na olimpiadę. Po co ci ta wojna?". Potęga kobiecości mogłaby skruszyć ekstremizm i zacietrzewienie pana cara. Napatrzyłem się już takich rzeczy. Nic tak nie zagraża każdemu biznesowemu przedsięwzięciu jak nowa kochanka jednego ze wspólników. I ja widzę kogoś takiego, kto ma niejakie doświadczenie w przewracaniu mężom stanu w głowach. Leszek Miller od tego zwariował. Jarosławowi Kaczyńskiemu też się poprzestawiało.

Jak się bowiem wydaje, była kandydatka na prezydenta RP, doktorka, redaktorka, aktorka, czyli ktoś, z kim prezydent Rosji zgodziłby się rozmawiać, aby światu przedstawić swoje racje, jest jakby obecnie niewykorzystana. Ani młoda, ani stara, wolna, w dodatku blondynka, udająca pierwszą naiwną, zdolna każdego kota odwrócić ogonem – Magdalena Ogórek. Trzeba tylko odpowiednio zaaranżować jakiś wywiad z prezydentem Rosji. Potem wszyscy na kolanach do Częstochowy, aby nasza gwiazda telewizyjna zbałamuciła Władimira, choćby pod pozorem poszukiwania pracy w telewizji Rossija Odin. W końcu straciła protektorat prezesa, a reżim Tuska wtrącić ją może do więzienia. Putin w to uwierzy, a doktor Ogórek wierzy we wszystko, co aktualnie ma na myśli.

No bo jeżeli nie Ogórek, no to nie wiem… Będzie kalafior i padaka. Trzeba by zabić w końcu mordercę Putina. Jeżeli jeszcze trochę pożyje, to świat podpali i pozabija nas wszystkich.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl a131345924

Bohater czy koncesjonowany opozycjonista?

Epitafium dla Nawalnego

Od tygodnia autorytety kolektywnego Zachodu od Joe Bidena po lidera zespołu U2 rozpaczają nad śmiercią rosyjskiego opozycjonisty Aleksieja Nawalnego. Adam Michnik napisał, że „śmierć Nawalnego to cios w demokrację na całym świecie. Nawalny był znakiem, że możliwa jest inna, demokratyczna i uczciwa Rosja". My też moglibyśmy opublikować chwytające za serce epitafium o dobrym, liberalnym demokracie Nawalnym, który dzielnie walczył ze złowrogim Putinem. Problem w tym, że byłoby to kłamstwo.

Od liberałów do neonazistów

Aleksiej Nawalny już w wieku 24 lat zaangażował się politycznie i przystąpił do liberalnej partii Jabłoko. Był to rok 2000, Putin dopiero zasiadł w fotelu prezydenta, a liberałowie byli jeszcze znaczącą siłą polityczną i piątą partią w Dumie. Nawalny prędko piął się po szczeblach kariery i już w 2004 r. został przewodniczącym oddziału liberałów w Moskwie. Jednakże pozycja partii słabła – w wyborach 2003 r. Jabłoko straciło 80 proc. mandatów – i Nawalny zorientował się, że jako liberał władzy nie zdobędzie. W 2006 r. bez zgody swej partii, za to wspólnie ze środowiskami nacjonalistycznymi i neonazistowskimi, zorganizował Rosyjski Marsz, manifestację przypominającą organizowany 11 listopada warszawski Marsz Niepodległości, tyle że na sterydach. Zjednoczenie całej opozycji, od nacjonalistów po rzekomych liberałów, zdaniem Nawalnego i jego nowych towarzyszy miało być jedyną szansą na odsunięcie Władimira Putina od władzy. Pomysł skończył się klapą, lecz Nawalnemu spodobał się wielkoruski imperializm i zapisał się do faszyzującej partii Narod. W 2007 r. polityk zadebiutował na YouTubie. Swoją internetową karierę rozpoczął od dwóch krótkich filmów. W pierwszym z nich postulował wolny dostęp do broni, a w drugim – przebrany za dentystę – sugerował wyrwanie zepsutych zębów Rosji, czyli deportację migrantów z Azji Centralnej, którzy mieli być przyczyną wszelkich nieszczęść. Rok później ochoczo poparł rosyjską agresję na Gruzję – proponował wesprzeć militarnie nieuznawane republiki separatystyczne Abchazji i Osetii Płd., zorganizować blokadę Gruzji oraz wydalić z Rosji wszystkich Gruzinów. Zresztą nienawiść do „ciapatych", w szczególności tych pochodzących z Kaukazu, do końca była elementem politycznej agendy Nawalnego.

Polityk roku i agent Kremla

Opozycjonista rósł w siłę, a mimo to Kreml w żaden sposób nie zwalczał jego działalności. W 2011 r. Nawalny został uznany za polityka roku przez moskiewską gazetę „Wiedomosti". W 2013 r. wystartował w wyborach na mera Moskwy i uzyskał bardzo wysokie poparcie (27,24 proc.), zajmując drugie miejsce za urzędującym Siergiejem Sobianinem. Pozostali opozycjoniści zaczęli podejrzewać, że wykreował go Kreml w celu odciągania uwagi wyborców i przekierowywania społecznego poparcia na dość efemeryczne wówczas struktury dowodzonej przez Nawalnego Fundacji Walki z Korupcją.

W wydanej niedawno przez dziennikarza Onetu Witolda Jurasza książce „Wataha Putina" doświadczony polski dyplomata prof. Hieronim Grala mówi wprost: „Nawalny przez długi czas miał wsparcie Kremla". Trzeba zresztą przyznać, że poparcie Nawalnego z punktu widzenia Putina miało sens. Tzw. koncesjonowana opozycja, czyli komuniści dowodzeni przez Giennadija Ziuganowa i nacjonaliści pod przywództwem Władimira Żyrinowskiego w oczach Rosjan nie byli żadną opozycją, lecz elementem władzy. Nawalny sprawiał wrażenie autentycznego, sprawnie zagospodarowywał frustrację Rosjan, a głosił poglądy akceptowane przez Kreml, choć dość radykalne i wychylone na prawo. W 2014 r. poparł aneksję Krymu i nawet po latach (gdy już stracił przychylność Kremla i oparcia szukał wyłącznie na Zachodzie) mówił, że „Krym to nie kanapka z kiełbasą", którą można żonglować między krajami, więc półwysep zostanie w Rosji na zawsze.

W drugiej dekadzie XXI w.

poglądy Nawalnego były dość stabilne: Rosja powinna być wielkim mocarstwem, które siłą odbija należne jej terytorium (vide Krym), na Zachód należy patrzeć z rezerwą, a wiele zachodnich koncepcji odrzucać, podstawowym zaś problemem Rosji jest Putin, ponieważ utworzył on osłabiające państwo mechanizmy korupcyjne.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Wizja Nawalnego zakładała, że gdy zostanie prezydentem, wyeliminuje dysfunkcyjne elementy systemu i będzie sprawniej realizował wielkoruską politykę. Poglądy te podobały się Rosjanom, czego wyrazem był sukces zwołanych przez Nawalnego 26 marca 2017 r. demonstracji – odbyły się w 95 rosyjskich miastach i przyciągnęły tłumy. Kreml zorientował się, że Nawalny staje się zagrożeniem i wyraźnie sugerował, żeby opozycjonista dał sobie spokój z polityką. Jednak Nawalny, zamiast odpuścić, tylko się radykalizował. W końcu w 2020 r. został podtruty (prawdopodobnie przez FSB) i przewieziony na leczenie do Berlina. Wyraźnie zakomunikowano, że w Rosji jest niemile widziany.

Łagier de luxe

Aleksiej Nawalny po niemal roku spędzonym w Niemczech postanowił, mimo ostrzeżeń, wrócić do ojczyzny i kontynuować walkę z urzędującym prezydentem. Sam został jednak skazany za korupcję i po powrocie do Rosji wtrącony do więzienia. Rzekomy wróg Putina numer jeden po kolejnych wyrokach i „przeprowadzkach" znalazł się w kolonii karnej w Charpie na Syberii. Polscy dziennikarze, pisząc o Nawalnym, wspominali opisy z „Archipelagu Gułag" Sołżenicyna, tymczasem warunki w rosyjskich koloniach karnych od tego czasu nieco się zmieniły. Polski dyplomata prof. Grala w rozmowie z Juraszem opowiedział taką anegdotę: „Pamiętam polskiego więźnia w kolonii, miał prawo do odwiedzin, przedstawiciel polskiej placówki pojechał go odwiedzić i zawiózł mu ojczystą prasę, a on wyraził ubolewanie, że polska ambasada jest tak tępa, że nie przywiozła mu »Playboya«, bo wszystko pozostałe ma". Doniesienia Moskiewskiej Społecznej Komisji Obserwacyjnej, która weszła w posiadanie danych dotyczących pobytu Nawalnego w koloniach, wskazują ponadto, że traktowano go w sposób specjalny i nie chodzi tu o drakońskie tortury i poniżanie. Nawalny ze swoimi prawnikami widywał się dużo częściej niż inni osadzeni, a czas ich rozmów nie był limitowany – łącznie rozmawiali 976 godzin. Opozycjonista nie musiał również pracować, podczas gdy inni więźniowie poświęcali na to średnio ponad 1700 godzin rocznie. Szczególną represją wobec Nawalnego było zasypywanie go paczkami od rodziny i przyjaciół, których dostał 78 (statystyczny więzień dostaje 1,6 paczki rocznie). Ponadto izolowany od świata na dalekiej Syberii opozycjonista stale prowadził swego internetowego bloga.

Mijały kolejne miesiące, a w Rosji zaczęto zapominać o Nawalnym. Jego towarzysze z Fundacji Walki z Korupcją nie planowali udziału w wyborach prezydenckich. Nową gwiazdą opozycji miał być Boris Nadieżdin (ostatecznie nie został zarejestrowany). Zachód też godził się powoli z faktem, że znany opozycjonista będzie jeszcze przez lata siedział w więzieniu i zapewne nic już w Rosji nie zdziała. Aż nagle 16 lutego poinformowano, że wielkoruski imperialista i niedoszły następca Putina Aleksiej Nawalny nie żyje. Podobno zmarł w wyniku zakrzepu krwi podczas spaceru. Mimo podjętej reanimacji nie udało się go uratować. Być może ostatnim epizodem (już pośmiertnym) w jego politycznej karierze będą wybory prezydenckie 17 marca. Nawalny namawiał, aby nie brać udziału w przedterminowym głosowaniu, lecz stawić się w lokalach w niedzielę w południe, aby zamanifestować swe poparcie dla opozycji. Zobaczymy, ilu Rosjan go posłucha.

MAREK SANOWSKI

PS Po ośmiu miesiącach spędzonych w ukraińskim więzieniu za łamanie zasad cenzury wojskowej w styczniu 2024 r. zmarł chilijsko-amerykański dziennikarz Gonzalo Lira. O jego śmierci media, dziś tak rzewnie opłakujące Nawalnego, nawet się nie zająknęły.

REKLAMA

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Rosjanom udało się w końcu zająć Awdijiwkę w Donbasie. Natychmiast po tym wydarzeniu polscy „eksperci wojskowi" radykalnie zmienili swą opinię o tym miasteczku. Dotychczas był to „strategiczny punkt", „brama Donbasu" i „wrota do Doniecka". Od tygodnia Awdijiwka jest nieistotną mieściną na wschodzie Ukrainy, której zajęcie zajęło Rosjanom osiem lat, co tylko dowodzi ich słabości. Paradne.

☆ Na łamach „Newsweeka" Krystyna Naszkowska wylicza, o ile wzrósł import ukraińskich płodów rolnych do Polski: „Przed wojną sprowadzaliśmy 6 tys. ton mięsa drobiowego rocznie, a w zeszłym roku 250 tys. ton. Import cukru z 20 tys. skoczył na ok. 500 tys.". Tymczasem eksport mięsa drobiowego z Polski na Ukrainę wynosi obecnie okrągłe zero, bowiem Ukraina 13 lipca ubiegłego roku wprowadziła zakaz wwozu pochodzących z Polski jaj wylęgowych, żywego drobiu oraz produktów z drobiu (w tym mięsa).

☆ Choć mamy dopiero luty, politycy zaciekle walczą o tytuł Największego Kretyna 2024 r. W ubiegłym tygodniu na partyjnej konwencji wystąpił marszałek sejmu Szymon Hołownia. Tonem szurniętego pastora z głębokiej prowincji Alabamy obwieścił: „Putina wgnieciemy w ziemię. Prędzej czy później trafi tam, gdzie powinien trafić: za kraty albo na cmentarz". I kto tu podżega do wojny?

☆ Na słowa swego przełożonego zareagował kardynał Richelieu Polski 2050 Michał Kobosko. Zapewnił o nieomylności Hołowni i podzielił się swoją wizją polityki: „Wyobrażam sobie Sojusz Północnoatlantycki, którego jesteśmy częścią, który będzie toczył wojnę obronną, której efektem, końcem musi być upadek reżimu Putina". Kobosko bezpośrednio przed dołączeniem do Polski 2050 przez sześć lat był dyrektorem warszawskiego biura amerykańskiego think tanku Atlantic Council. To wiele wyjaśnia.

☆ Minister rolnictwa i rozwoju wsi Czesław Siekierski zabłysnął na spotkaniu z rolnikami. Na pytanie jednego ze zgromadzonych chłopów: „Jak to możliwe, że mrówce, która wiezie 10 paczek papierosów, jest w stanie służba na granicy to sprawdzić, rozebrać tapicerkę w osobówce i wyjąć? […] A cały wagon, cały pociąg czy pięć tysięcy tirów, które tam [na granicy polsko-ukraińskiej – przyp. MS] teraz stoją – na to nie ma sposobu?", minister odpowiedział z uśmiechem na ustach: „Wie pan, to jest tak, że za drobne przestępstwa się karze, a za wielkie nie". Dobrze, że Siekierski nie został ministrem sprawiedliwości.

☆ Filharmonia Narodowa kolejny raz dowiodła, że Polska nie jest normalnym krajem. Odwołano koncert wirtuoza fortepianu, laureata Konkursu Chopinowskiego Nikołaja Chozjainowa. Pianista wprawdzie w ogóle nie zajmuje się polityką i mieszka w Szwajcarii, ale urodził się w rosyjskim Błagowieszczańsku, co zadecydowało o dyskwalifikacji. Ciekawe, czy polskie instytucje będą wykazywać podobną wrogość do nowego dowódcy ukraińskiej armii Ołeksandra Syrskiego, który także urodził się w Rosji, a konkretnie we wsi Nowinki w obwodzie włodzimierskim.

☆ Ukraiński poeta Serhij Żadan w końcu odkrył, że największym wrogiem niepodległej Ukrainy jest XIX-wieczny pisarz Aleksander Puszkin. Oto jego uzasadnienie przedstawione na łamach „Newsweeka": „Weźmy rosyjskich chłopaków, którzy mają dziś 21 czy 25 lat i walczą w armii rosyjskiej – jakie lektury przerabiali w szkole? Mickiewicza? Nie! Słowackiego? Wątpię. Miłosza? Nie sądzę. Czytali Puszkina. Baśnie Puszkina. A kiedy dorośli, zabijanie Ukraińców stało się dla nich czymś całkowicie normalnym. […] To rosyjska kultura kształtuje Rosjan […]. Formują ich rodzimi pisarze. To wszystko sprawia, że dla Rosjan normalne jest zabijanie innych […]. Ideologia rosyjska dla Ukraińców jest po prostu zabójcza. Kultura rosyjska też". A opieka psychiatryczna na Ukrainie zdecydowanie niedomaga.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl a131345924

Partia wolności pozamałżeńskiej

Ciekawe, że jak tylko rządzi PiS, to liczba rozwodów wystrzeliwuje w kosmos.

Kwitnąc 15 października w dwugodzinnym ogonku do urny, zgadałem się z kobietą stojącą za mną. Rozmawiała tylko wtedy, gdy jej ślubny chodził patrzeć, jak długo jeszcze. Od słowa do słowa wyszło, że kobieta ma dość władzy PiS. I swojego chłopa też. Od kilku lat on siedział w swoim pokoju i oglądał TVP Info, a ona – na szczęście dysponowała drugim telewizorem – wszystko, co nie miało logo TVP. Kobieta, licząc na klęskę PiS, przewidywała, że mąż bez swoich mediów i partyjnej religii zgotuje jej w domu piekło. Miesiąc wcześniej więc zrobiła to, co wcześniej kilka jej koleżanek: pobiegła do sądu z pozwem rozwodowym.

Rozwódź się, kto może

Nie była w tym osamotniona. Podobnie postąpiło w zeszłym roku niemal 81 tys. osób. Tyle wniosków o rozwiązanie małżeństwa spłynęło bowiem do sądów okręgowych. To o 3 proc. więcej niż w 2022 r., gdy było ich 78,5 tys.

Biorąc pod uwagę, że obrączki nałożyło w 2023 r. ok. 155 tys. par, to stan małżeński Polaków zaczyna wyglądać nader interesująco. Wychodzi wszak na to, że więcej niż co drugi ślub nie doczeka grobowej deski któregoś ze współmałżonków.

A jeszcze w 1960 r. rozwodziło się sześć par na 100 zawartych małżeństw, a w 1981 r. – 12 par.

Orzeczonych rozwodów jest co roku mniej niż składanych pozwów. Bierze się to stąd, że część spraw – głównie tam, gdzie w grę wchodzą dzieci lub majątek – toczy się długo i nieszczęśliwie. Niemniej każdego roku ponad 60 tys. par dowiaduje się od sędziów, że nie jest już małżeństwem. Rekordowy pod względem liczby rozwodów – 71,9 tys. – był rok 2006. Premierem w tym czasie był Jarosław Kaczyński.

Z powodu spadku liczby zawieranych małżeństw – co jest z kolei skutkiem coraz mniej licznych roczników – wskaźnik rozwodów u nas rośnie. I z wolna zbliża się do katolickiej Hiszpanii, gdzie na 100 zawartych małżeństw rozwodzi się 57. Ścigamy też lidera, czyli katolicką Portugalię, gdzie rozwody to niemal dwie trzecie tego, co się rocznie poślubia. Daleko nam na szczęście do – też przecież katolickiej – Malty, gdzie na 100 ślubów rozwodzi się ledwie 11 par.

Katolicyzm nie jest tu bez znaczenia, bo

zeszły rok był rekordowy i pod względem kościelnych rozwodów. W 2023 r. przed sądami biskupimi w Polsce zakończyło się 197 spraw, w których zapadło 175 wyroków. 146 z nich stwierdzało nieważność małżeństwa. W skali europejskiej co czwarty wyrok unieważniający kościelne małżeństwo jest wydany w Polsce.

To zaś świadczyłoby, że w innych krajach ludzie mają obrzędowość gdzieś, a poza tym nie zamierzają już przy zawieraniu kolejnych małżeństw stawać przed ołtarzem. I to mimo że Kościół od kilku lat dwoi się i troi, żeby ułatwić kościelny rozwód. Ceny za jego przeprowadzenie spadły o dwie trzecie. Uproszczona procedura zakłada, że proces jest przeprowadzany przez jedną instancję, a czas procedowania skrócił się z sześciu do dwóch, trzech lat. A nawet, jak tego dowodzi przykład Jacka Kurskiego, jeszcze bardziej.

Kluczem do zrozumienia popularności kościelnych rozwodów w Polsce jest właśnie nazwisko byłego szefa TVP. Nikt normalny nie będzie się przecież wygłupiał i stawał przed sądem biskupim, gdy ma przed sobą prostą, szybką i tanią procedurę rozwodu w sądzie. Chyba że jest politykiem lub nominatem PiS, w którego zakres obowiązków jest wpisane bycie zawodowym katolikiem, czyli pełne uczestnictwo w każdej mszy.

Harcownicy nierozerwalności

Gdy w 2015 r. PiS sięgnął po władzę, Kościół doszedł do wniosku, że po zakazaniu aborcji do czystości doktrynalnej polskiemu katolicyzmowi brakuje tylko zakazu rozwodów, czy choćby ich ustawowego ograniczenia.

Prawdziwi katolicy rzucili się kilka lat temu do zbierania podpisów pod petycją z prośbą o potwierdzenie tradycyjnej nauki Kościoła w sprawie nierozerwalności małżeństwa. Apel poparło niemal 150 tys. osób. Żeby jednak nie było, że apel został wymyślony przez hierarchów, którzy mieli wszak załatwić zakaz rozwodów z Kaczyńskim, petycja była skierowana do przewodniczącego Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego.

„Nie chcemy, by doktrynalny zamęt i rewolucja obyczajowa dotarły do naszej Ojczyzny! Pragniemy ponadto, by postawa polskich hierarchów dała przykład biskupom na całym świecie" – pisali autorzy petycji, uderzając w struny antyniemieckości – „w największym kraju Unii Europejskiej katolicka hierarchia zaprzeczyła dotychczasowej praktyce Kościoła oraz słowom świętego Jana Pawła II. Za zachodnią granicą Polski możemy zaobserwować wielki kryzys wiary, potęgowany przez doktrynalny zamęt. Niemieccy biskupi wystosowali list pasterski, w którym oficjalnie dopuścili osoby rozwiedzione, żyjące w ponownych związkach, do przyjmowania Komunii Świętej". I dlatego „głos polskiego episkopatu w sprawie nierozerwalności małżeństwa nie tylko może stać się wielkim świadectwem Prawdy, ale także dodać odwagi i zachęcić biskupów z innych krajów do głoszenia niezmiennej Chrystusowej nauki, na której zbudowana została cywilizacja chrześcijańska".

Nie była to pierwsza katolicka akcja wymierzona w rozwody. Kilka lat wcześniej nikomu wówczas nieznana, a potem zblatowana z PiS Fundacja Mamy i Taty ruszyła z kilkoma kampaniami medialnymi. Zwalczała w nich homoseksualność, związki nieformalne, stosowanie antykoncepcji i właśnie rozwody.

W petycji do władz państwa pisała, że w Polsce co roku ponad 60 tys. dzieci „przeżywa rozwód rodziców". Przez co małolaty doznają „regresu w rozwoju intelektualnym i psychofizycznym oraz pogorszenia stanu zdrowia", a „w skali społecznej to odroczone skutki i koszty płynące z gorszej socjalizacji (63 proc. samobójstw, 71 proc. porzuceń szkoły, 85 proc. osadzeń młodocianych w więzieniach, 90 proc. bezdomnych wśród dzieci to według różnych badań osoby wychowywane bez ojca)". Na dodatek 74 proc. kobiet i 60 proc. rozwiedzionych mężczyzn „żałuje po latach, że nie walczyło o utrzymanie swojego pierwszego małżeństwa".

Żeby tych strasznych rzeczy uniknąć, wystarczyło – zdaniem fundacji – by władza wprowadziła „obowiązkowy przed złożeniem pozwu rozwodowego kurs uświadamiający, jakie są skutki rozwodu dla dzieci". Poza tym w sądzie miałoby się odbyć „obowiązkowe posiedzenie pojednawcze na co najmniej sześć miesięcy przed orzeczeniem rozwodu". Potem „obowiązkowy roczny tzw. okres refleksji poprzedzający pierwszą rozprawę rozwodową". No i „zakaz orzekania rozwodu w pierwszym roku od zawarcia małżeństwa". Ówczesna platformerska władza nie zwróciła na to uwagi.

Gdy Polską zaczęło rządzić PiS, o konieczności zakazu rozwodów przypomniała pewna pani. „Nazywam się Anna Kamińska, wykształcenie wyższe, dwie córki. Jestem członkinią Prawa i Sprawiedliwości od początku istnienia. Rozwiedziona. Mój były mąż, poseł dr Mariusz Antoni Kamiński, zdradził mnie z partyjną koleżanką w sejmie. Mój mąż jest zdrajcą małżeńskim. Nie on jeden. Polski sejm zdradą małżeńską i rozwiązłością obyczajową stoi" – napisała w liście otwartym. Dodała, że „człowiek, który dopuszcza się zdrady małżeńskiej, dopuszcza się po prostu zdrady. Czy jest w polskim sejmie i senacie miejsce dla zdrajców? Nie!". I dlatego – zdaniem eks-Mariuszowej Antoniowej Kamińskiej – zdrada małżeńska powinna skutkować postawieniem parlamentarzysty przed Trybunałem Stanu i dożywotnim pozbawieniem go biernego prawa wyborczego. Posłami i senatorami mogłyby być tylko osoby będące w małżeństwach. Z wyjątkiem Jarosława Kaczyńskiego, który jest „mężem stanu".

Wracając do petycji do Gądeckiego… Podpisali się pod nią Pospieszalski, Terlikowski, Radosław Pazura, kompozytor Michał Lorenc, historyk Jan Żaryn, Jan Łopuszański i stado ludzi z Ordo Iuris. Mimo to Gądecki, z powodu stanowczego wypowiedzianego mu do ucha „nie" władzy, sprawy nie ruszył. Umarła też propozycja Ziobry, który zaproponował, żeby utrudnić życie rozstającym się i podnieść sądowe opłaty za rozwód ponad trzykrotnie: z 600 do 2000 zł.

Z rozwodem im do twarzy

Nikt nie wpadł na to, że – mimo deklaracji pełnych katolicyzmu i wartości rodzinnych – PiS to partia prorozwodowa. Rozwiązania małżeństw doświadczyli zarówno bratanica prezesa Marta, jak i Kuchciński czy Terlecki, o ułaskawionym prezydencko wiceprezesie Mariuszu Kamińskim nie wspominając. A poza tym gdyby nie instytucja rozwodu, to PiS nie miałby dwóch polityczek nazwiskiem Gosiewska.

Najzabawniejsze jednak, że

w Polsce w ciągu ośmiu pisowskich lat o jedną trzecią spadła liczba zawieranych kościelnych małżeństw. W 2022 r. udzielono 87,9 tys. ślubów kościelnych. A jeszcze w 2014 r. było ich 132,2 tys.

Mimo prokościelnej propagandy PiS przez ostatnie lata przybywało ślubów cywilnych. Jeszcze w 2002 r. zawarto ich 51 tys. W 2014 r. było tego już 70,3 tys., a w 2022 r. – 76,4 tys. Niemal tyle, ile ślubów katolickich.

Dzięki niegdysiejszym ślubom mamy w Polsce ponad 8,5 mln małżeństw. Gdyby do tej liczby odnieść rozwody, to okaże się, że o ile w 2015 r. rozwodziło się co 155. małżeństwo, to w 2021 r. – co 147., a w 2022 r. – już co 144.

Wychodzący z nieudanych związków ludzie stają się wolni. A skoro przez osiem lat rządów osób takich przybywało w tempie dotąd niespotykanym, to PiS śmiało może teraz określać się mianem partii wolności.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIARA CZYNI CZUBA

1. Vishwa Hindu Parishad (VHP), ultraprawacka organizacja hinduistyczna terroryzująca mniejszości religijne i narodowe w Indiach, z błogosławieństwem premiera Modiego i jego partii Bharatiya Janata Party (BJP, Indyjska Partia Ludowa) wystąpiła do sądu przeciwko zoo, które umieściło w jednym wybiegu lwicę o imieniu Sita i lwa o imieniu Akbar. Sita to hinduskie bóstwo, a Akbar to XVI-wieczny muzułmański cesarz z dynastii Mogołów. „Sita nie może pozostać z cesarzem Mogołów Akbarem" – ogłosił rzecznik VHP Anup Mondal i dodał, że obraża to uczucia religijne hinduskiego kraju. Dodaniem krzywdy do zniewagi jest fakt, iż pierwotne imię lwa, urodzonego w rządzonym przez BJP stanie Tripura brzmiało Rama – na cześć innego hinduskiego bóstwa – ale zostało zmienione po tym, gdy zakupiło go zoo w Bengalu Zachodnim kontrolowanym przez opozycyjny Trinamool Congress.

2. Według Biura Informacji Publicznej miasta San José del Monte w filipińskiej prowincji Bulacan 14 lutego o godz. 7.00 zawaliła się galeria kościoła św. Piotra Apostoła. Spośród 400 wiernych uczestniczących w porannej mszy w Środę Popielcową 53 osoby odniosły obrażenia, jedna – 80-letnia kobieta – zmarła w wyniku ciężkich obrażeń klatki piersiowej. Ruben Fortun, szef lokalnego centrum kryzysowego, ocenia, że drewniana podłoga galerii prawdopodobnie została przeżarta przez korniki. „Z zewnątrz wszystko wyglądało dobrze. Nie wiedzieliśmy, że jedzą od wewnątrz" – wyjaśnił z rozkoszną szczerością. Kościół św. Piotra Apostoła został

eprasa.pl a131345924

Singlowanie we dwoje

Różnopłciowe związki partnerskie są w Polsce standardem prawnym.

Rys. TOMASZ WIATER

W cywilizowanej części Europy wspólne życie na kartę rowerową stanowi zdecydowaną większość związków. U nas konkubinat, choć rośnie w siłę z roku na rok, ma podstawowy feler – nazwę. Media – za policją i prokuraturą – nieustannie wspominają o konkubentach i konkubinach tylko w kontekście melin, pobitych lub porzuconych dzieci i innej patologii społecznej.

Aż dziwne, że nawet w Wikipedii nie przeczyta się, że były prezydent Francji François Holland, przez 30 żyjąc ze swoją konkubiną Ségolène Royal, zmajstrował jej czwórkę dzieci, po czym został konkubentem dziennikarki Valérie Trierweiler. Cały świat ma wywalone na kwestię, na jakich zasadach ludzie są ze sobą, ale w języku naszych mediów konkubinat ma się źle kojarzyć i kropka. Neutralne pojęcia takie jak partner i partnerka są widać zarezerwowane dla celebrytów.

Pozamałżeństwo z dzieckiem

Czym zatem różni się sformalizowany związek od tego, który funkcjonuje bez obrączek? Zacznijmy od początku. Jak ktoś się chce wydać za kogoś innego, to śmiga do księdza lub urzędu stanu cywilnego. Wymaga to od obojga poświęcenia czasu i pieniędzy. Potem taka para robi wesele, co jest niemądre, bo z reguły szmalec zebrany od weselników nie pokrywa kosztów imprezy.

Konkubenci zamiast tego mogą sobie wzajemnie zacytować Mickiewicza i powiedzieć „Ślubuję ci miłość, szacunek i posłuszeństwo bez granic, złamiesz choć jeden warunek, już cała ugoda za nic”.

Wiążący się nieformalnie są w tym momencie bogatsi o przynajmniej kilka stówek, a godziny wystane w kościele, domu weselnym lub USC mogą spędzić na czymś znacznie przyjemniejszym.

Gdy ludzie są razem, to chcieliby wspólnie mieszkać. Prawo bankowe nie dzieli obywateli RP na zaobrączkowanych i nierejestrowanych. Dla banków klient jest klient, a jak ma pokrycie i wiarygodność finansową, to bez problemu dostanie kredyt na mieszkanie.

Tyle że właśnie w momencie wspólnego podpisywania umowy na kredyt hipoteczny dochodzi do zawarcia prawdziwego związku, bo jak twierdzą fachowcy od socjologii, wspólny kredyt jest jedynym spoiwem łączącym większość par w Rzeczypospolitej.

Gdy już jest własna chałupa, to z reguły samiec i samica myślą o potomstwie. To głównie dzięki konkubinatom, a nie wpadkom singli więcej niż co czwarte dziecko nie rodzi się w małżeństwie. Bo progenitura w przypadku konkubinatu jest bardziej niż racjonalna. Jedyną w sumie dolegliwością jest to, że ojciec dziecka musi pobiec do USC i złożyć kwit, w którym uznaje je za swoje.

W czasie przebywania ciężarnej w szpitalu konkubent nie będzie miał najmniejszych problemów z odwiedzaniem jej czy nawet podejmowaniem decyzji, gdy jest nieprzytomna. Po pierwsze w szpitalach nie ma z powodu braku kasy nikogo, kto by mógł kogokolwiek legitymować, a gdyby nawet, to także sformalizowani małżonkowie mogą mieć różne nazwiska i adresy. A nigdzie nie ma obowiązku noszenia przy sobie zaświadczeń o statusie rodzinnym z kimkolwiek. Oświadczenie, że jest się mężem, otwiera wszystkie możliwości i jest nieweryfikowalne. Poza tym pacjent może do podejmowania za siebie decyzji upoważnić nawet premiera Tuska.

Dzieciak jest niezbędny do zabezpieczenia związku, a także do tego, by z jego posiadania zacząć czerpać profity, jak choćby 800 plus. Związek nieformalny, jak sama nazwa wskazuje, jest nieformalny i zakłada, że gdy jedno z konkubentów walnie w kalendarz, to drugie po nim nic nie dostanie. A jeśli dostanie, bo został spisany testament, to pojawi się fiskus i zdejmie z tej osoby wysoki podatek, jako z kogoś, kto dla nieboszczyka był osobą obcą. Dzieciak ratuje tę sytuację, bo staje się jedynym i pełnoprawnym spadkobiercą. Dzięki temu żyjący konkubent nie musi bać się rodziny konkubenta nieżyjącego.

Para samotnie wychowująca

Kolejnym z profitów płynących z pozamałżeńskiego dziecka może być otrzymanie przez któregoś z partnerów statusu rodzica samotnie wychowującego dziecko. Taki status jedno z rodziców uzyska pod warunkiem, że drugie przezornie nie zamelduje się z resztą rodziny.

Bycie samotnym rodzicem pozwala rozważać dwa scenariusze. Hardcore’owy i normalny.

Normalny, czyli skorzystanie z urlopu macierzyńskiego, pobranie wszystkich dostępnych becikowych i skorzystanie z rozliczania podatku dochodowego z dzieckiem. Oczywiście pamiętając, że drugi rodzic jest zameldowany gdzie indziej. Albowiem zgodnie z prawem jako samotny nie może rozliczać się rodzic pozostający w nieformalnym związku z drugim rodzicem dziecka i prowadzący z nim wspólne gospodarstwo domowe.

Rozliczanie podatku dochodowego z dzieckiem powoduje, że oficjalnie dziecko przebywa z tym, kto na zwrocie podatku zarobi więcej. Przypadki kontroli skarbowej sprawdzającej w terenie, czy samotny rodzic wychowuje samotnie, są sporadyczne, a poza tym drugi z rodziców zawsze może odwiedzić swe pacholę i urzędowi skarbowemu wara od tego.

A tak zupełnie na marginesie, to konkubinat jest instytucją pobłogosławioną i uznawaną przez państwo w ustawie o nazwie ordynacja podatkowa. W artykule 111. przewidziano w niej solidarną odpowiedzialność obojga konkubentów za zaległości podatkowe każdego z nich.

W przypadku scenariusza hardcore’owego całe nieformalne stadło idzie na całość i – balansując na granicy prawa – garnie, co się da. Do wyjęcia są bowiem takie świadczenia jak zasiłek rodzinny, refundacje kosztów na opiekę nad dzieckiem, dodatek z tytułu samotnego wychowywania dziecka lub jednorazowy dodatek do zasiłku rodzinnego z tytułu urodzenia się dziecka. Wszystkie te groszowe świadczenia są wypłacane przez pomoc społeczną i obarczone niemal stuprocentową możliwością sprawdzenia, czy samotny rodzic jest naprawdę samotny. Potwierdzenie faktu zamieszkiwania z kimkolwiek oprócz dziecka spowoduje nie tylko cofnięcie świadczeń, ale i problemy z prokuraturą.

Najważniejszym i stuprocentowo zgodnym z prawem przywilejem samotnego rodzica jest pierwszeństwo w zapisach do publicznych żłobków i przedszkoli – samotna matka (lub ojciec) nie musi się nawet przejmować spełnieniem kryterium dochodowego, bo większość samorządów prowadzących przedszkola uznaje, że jedyny żywiciel rodziny musi pracować.

Pozostałe sprawy związane z władzą rodzicielską, takie jak zapisywanie do szkół, chodzenie na wywiadówki, do lekarza czy cokolwiek innego, są takie same jak te, które mają rodzice będący mężem i żoną.

Dywersyfikacja hipoteczna

Gdyby jedno z partnerów zostało przejechane przez jakiegoś złego człowieka lub pozbawione przez niego życia w inny sposób, to sprawca musi płacić drugiemu. Sąd Najwyższy wyprowadził bowiem z artykułu 446 § 2 kodeksu cywilnego pogląd, że pozostały przy życiu konkubent może żądać od sprawcy śmierci drugiego konkubenta środków utrzymania, o których mowa w tym przepisie.

Kodeks karny też jest łaskawy dla związku partnerskiego. Artykuł. 115 § 11 zalicza konkubentów do kręgu osób bliskich, w związku z czym przysługuje im prawo odmowy zeznań.

Istotną przewagą życia na kocią łapę jest zaoszczędzenie kaski i czasu z powodu braku potrzeby spisywania intercyzy czy dokonywania rozdzielności majątku małżonków. Jeśli ktoś sądzi, że te rzeczy nie mają znaczenia, to się myli. Na majątku należącym do wspólnoty majątkowej małżeńskiej wykarmi się każdy komornik. Na majątku należącym do osoby – z punktu widzenia prawa – obcej połamie sobie zęby.

Skoro już mowa o własności, to wbrew pozorom sprawa jest tu jeszcze prostsza niż w małżeństwie. Mieszkanie zapisane jest w hipotece na dwie osoby, samochód konkubenci też kupują na spółkę i wpisują się do dowodu rejestracyjnego. Więc gdy wpadnie im do głowy powiedzieć sobie adieu, wszystko jest jasne. W epoce, gdy płaci się kartą i przelewami z konta, udowodnienie przed sądem, co jest czyje, stało się banalnie proste. Z banku można pobrać wyciąg nawet sprzed wielu lat. A na dodatek, w przeciwieństwie do rozwiązywania małżeństwa, nie trzeba niczego ciąć równo na połowę.

O tak ewidentnej przewadze konkubinatu nad małżeństwem jak brak rozwodu nawet nie warto wspominać. Po prostu brak rozwodu to bonus w postaci zaoszczędzonych na sprawie pieniędzy, czasu i poniżających obie strony pytań.

Gdy się to wszystko wie, to co można myśleć o wyznawcach artykułu 18. konstytucji, według którego „małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny […] znajduje się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej”?

Karta rowerowa wystarczy do załatwienia mieszkania, kredytów, leczenia, podziału majątku i setki różnych spraw, a daje przewagę w przedszkolach i żłobkach. Skoro zatem konkubinat ma tyle zalet, to dlaczego ludzie się pobierają? Były premier Marcinkiewicz – żeniący się skądinąd po raz trzeci – odpowiedziałby zapewne, że jest to dobre pytanie.

TOMASZ BOROWIECKI

Prawo do kociej łapy

Jeszcze za komuny w 1988 r. Sąd Najwyższy ogłosił coś, na czym polskie prawo bazuje do dziś. Zdefiniował mianowicie konkubinat, dając mu pozycję istotnej instytucji społecznej. Dzięki temu orzeczeniu układ zwany życiem na kocią łapę to „wspólne pożycie oznaczające istnienie ogniska domowego, charakteryzującego się duchową, fizyczną i ekonomiczną więzią, łączącą kobietę i mężczyznę”. Według zaś definicji Sądu Apelacyjnego w Białymstoku sprzed ćwierć wieku konkubinat to „stabilna, faktyczna wspólnota osobisto-majątkowa dwojga osób”.

TB

zbudowany w 1994 r., więc trudno go uznać za szczególnie wiekowy budynek. Pytanie, dlaczego Bóg pozwala kornikom zabijać staruszki w Środę Popielcową, nie zostało przez wiernych zadane.

3. Papież Franciszek przyjął rezygnację kardynała José Luisa Lacunza Maestrojuána z funkcji biskupa diecezji David w Panamie. 30 stycznia wczesnym popołudniem 80-letni kardynał opuścił swoją rezydencję bez portfela, telefonu czy jakiegokolwiek bagażu i znikł z powierzchni ziemi. Policja została zawiadomiona, a wierni wezwani do modlitwy. Dwa dni później Lacunza objawił się 40 kilometrów dalej w stanie „dezorientacji”. Podczas niedzielnej mszy po cudownym odnalezieniu kardynał przeprosił wiernych i wyjaśnił, że jego zniknięcie to był „głupi dowcip” i że dowcipów takich nie robił, gdy miał lat 15, ale zebrało mu się na nie po osiemdziesiątce. Pytany o sprawę prokurator generalny Panamy Javier Caraballo wydał oświadczenie, że kardynał ma prawo do „prywatności”. Co Lacunza porabiał przez dwa dni, do dziś nie wiadomo.

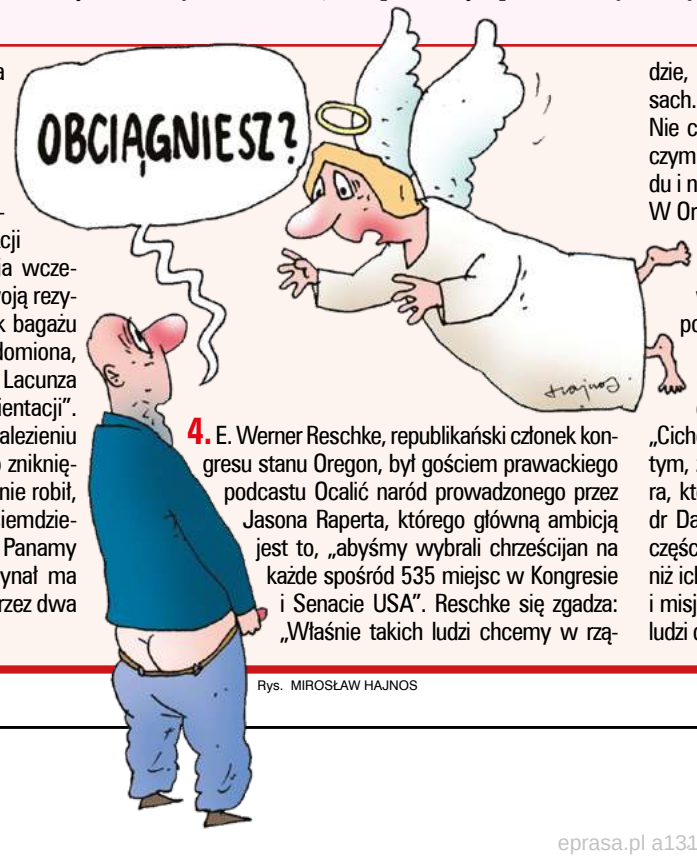

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

4. E. Werner Reschke, republikański członek kongresu stanu Oregon, był gościem prawackiego podcastu Ocalić naród prowadzonego przez Jasona Raperta, którego główną ambicją jest to, „abyśmy wybrali chrześcijan na każde spośród 535 miejsc w Kongresie i Senacie USA”. Reschke się zgadza: „Właśnie takich ludzi chcemy w rządzie, aby podejmowali trudne decyzje w trudnych czasach. Nie chcemy materialistów. Nie chcemy ateistów. Nie chcemy muzułmanów. Chcemy kogoś, kto rozumie, czym jest prawda, i rozumie naturę człowieka, naturę rządu i naturę Boga. Jeśli tego nie rozumiesz, wybierzesz źle. W Oregonie mamy niestety wielu ludzi, którzy są bezbożni, i to prowadzi do sytuacji, w której ślepi wiodą ślepych”. Po niejakim poruszeniu, które ten monolog wywołał, Reschke złożył oświadczenie, iż jego wypowiedź została „rażąco wyrwana z kontekstu”.

5. 3 tys. osób kupiły bilety na dyskotekę w pochodzącej z 597 r. katedrze w Canterbury. Imprezy z serii „Ciche disco w niewiarygodnych miejscach” polegają na tym, że każdy uczestnik dostaje słuchawki i sam wybiera, którego didżeja słucha. Dziekan Canterbury wielebny dr David Monteith przekonuje, że „katedry zawsze były częścią życia społecznego w sposób znacznie szerszy niż ich główny cel jako ośrodków chrześcijańskiego kultu i misji”. Nie wszyscy się zgadzają. „To nie zbliży młodych ludzi do Chrystusa, raczej będzie przesłaniem, że Chrystus i Jego Kościół oraz cała prawda, piękno i dobro, które ma do zaoferowania, są nieważne. Że rozrywka zasługuje na naszą uwagę bardziej niż Bóg” – wzywa organizator protestu przeciwko imprezie, noszący swojskie nazwisko Cajetan Skowronski. W imieniu Polski przepraszamy.

6. Jason Rapert, członek rady bibliotecznej stanu Arkansas, zgłosił wniosek o odebranie finansowania trzem wielkim bibliotekom, które pozwały stan za wprowadzone w 2023 r. przepisy cenzorskie. Przepisy dotyczyły – a jakże – ochrony dzieci i młodzieży przed „szkodliwymi treściami”. Przewidywały ściganie karne bibliotekarzy i księgarzy, którzy mają na półkach treści oburzające bigotów, i były tak kretyńskie, że nawet w konserwatywnym Arkansas sąd zawiesił ich działanie ze skutkiem natychmiastowym. Rapert tak tłumaczy swoje poparcie dla ustawy i chęć ukarania protestujących przeciwko niej bibliotek: „Są ludzie, którzy twierdzą, że w porządku jest trzymanie książek o gwałcie i seksie w zasięgu małych dzieci. To kłamstwo”. Zaskakująco Rapert nie postuluje usunięcia z bibliotek Biblii, w której gwałtu jest więcej niż u markiza de Sade.

eprasa.pl a131345924

Chuć bezpieczną racz nam dać, Panie

O seksualności przez pryzmat chrześcijańskiej miłości.

Przez dziesięciolecia problem szkolnej edukacji seksualnej pokazał, że kto próbował się nią zająć, szybko poległ. Świeża minister edukacji Barbara Nowacka podjęła rękawicę. Środowiska ultraprawicowe ogłosiły mobilizację.

Nie myślałam, że w 39. wiośnie życia będę śledzić zmiany w polskim systemie oświatowym, a tym bardziej te skupiające się wokół pożycia seksualnego. Po pierwsze, wszystko od dawna już wiem i nie potrzebuję korepetycji, a po drugie, szczęśliwie udało mi się uniknąć tej przykrej konsekwencji zabaw cielesnych w postaci dziecka. Nie mam zatem potrzeby, by martwić się o meandry edukacji młodych Polaczątek. Niemniej pozostając w duchu międzypokoleniowego zrozumienia, cieszę się, że dziatwa dotychczas terroryzowana przez pedagogów z pajęczynami w głowach (a pewnie i kroczach) w duchu katolickiej indoktrynacji nie będzie kojarzyła przyjemności spółkowania z obrazami rozrywanych płodów, rozwojem macicznego pasożyta, nagrań porodów i tym podobnymi paskudztwami. Idzie nowe, które zamiast straszyć, będzie edukować, zamiast obrzydzać, uczyć o bezpieczeństwie – takie, powiedzmy, BHP od dupy strony, rzetelnie o przyjemności.

Dynamiczne zmiany w sytuacji społeczno-kulturowo-politycznej z równie dużym zainteresowaniem śledzą środowiska konserwatywne, w tym proliferskie. I choć zdawałoby się, że nudne do wyrzygu w swej przewidywalności katolickie histerie nie zaskoczą niczym nowym, te rozbłysnęły jak neon nad burdelem w mroczną noc.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Historia kołem łamie

Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia, którego członkowie nie posiadają żadnych specjalnych kompetencji, a zatem jak znalazł nadają się do wydalania okołoreligijnych miazmatów, zorganizowało spotkanie online z Teresą Król, matką chrzestną wdrożenia w polskich szkołach edukacji seksualnej w tzw. modelu A (do czego jeszcze wrócę). Gościni wraz z prowadzącą dyrektor do spraw edukacji stowarzyszenia Magdaleną Guziak-Nowak starały się odpowiedzieć na pytanie, jak rozmawiać z młodzieżą o seksualności przez pryzmat odpowiedzialności i miłości, gdy obecne władze przymierzają się do wdrożenia w polskich szkołach opłakanej w skutkach edukacji seksualnej w modelu brytyjskim, niemieckim czy szwedzkim. Obejrzałam materiał i puściłam bańkę nosem.

Historia Teresy Król jest tyleż ciekawa, co przerażająca. W sierpniu 1996 r. za czasów koalicji SLD i PSL Sejm RP uchwalił nowelizację ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, na mocy której wprowadził do nauczania szkolnego przedmiot wiedza o seksualnym życiu człowieka. Prawdopodobnie był to ostatni w ciągu minionych 28 lat moment, kiedy edukacja seksualna miała szansę przypominać to, do czego obligowała ją nazwa. Ówczesny minister edukacji Jerzy Wiatr wydał polecenie wdrożenia zajęć z nowego przedmiotu od klasy V do maturalnej, katoprawica dostała wkurwu, a finalnie z planów wyszło gówno. Oficjalnie na zmiany zabrakło pieniędzy. W 1997 r. nastały rządy AWS i Unii Demokratycznej. Na czele resortu edukacji stanął Mirosław Handke, który zaraz po nominacji solenne zapewnił, że żadnej edukacji seksualnej na modłę zachodnią nie wprowadzi. Podpierał się przy tym opowieścią o telefonie kolegi z Kanady (prawdopodobnie wyimaginowanym protoplaście zapłakanej kuzynki z Ząbek), który miał szlochać w słuchawkę: „Błagam cię, nie wprowadzaj tej edukacji, bo ja już nie mam dzieci…". Handke dzieci miał i chuj wie, czy z myślą o nich, czy o wychowanym pod krzyżem elektoracie edukacji seksualnej powiedział „nie". Powołał natomiast 17-osobowy zespół opiniodawczo-doradczy, który miał przygotować nowe podstawy programowe do przedmiotu od seksu. W skład zespołu weszli m.in. psycholog, metodyk biolog, seksuolog, ginekolog, katolicki ksiądz i biskup ewangelicko-augsburski. O ile mogła pocieszać myśl, że seksuologiem był prof. Zbigniew Izdebski, o tyle obecność ginekologa Bohdana Chazana dobitnie nakreśliła kurs tego programu. Na czele smutnego cyrku stanęła Teresa Król, polonistka, która osobiście zadzwoniła do Handkego z informacją, że coś z tą edukacją seksualną trzeba zrobić. Przy okazji zakręciła się tak sprytnie, że napisała kilka podręczników, tworząc betonową podstawę przedmiotu.

Polska, zamiast mozolnie wydłubywać się z edukacyjnego zaścianka, pod płaszczykiem postępu zagrzebywała się głębiej w szlamie świętojebliwej ignorancji. Żeby podkreślić, w jak złym kierunku szły sprawy, wystarczy wspomnieć, że na zaproszenie Ministerstwa Edukacji przyjechał do Polski amerykański protestancki kaznodzieja Josh McDowell, który podczas spotkania z nauczycielami, katechetami, doradcami metodycznymi i urzędnikami kuratoriów w Teatrze Wielkim w Warszawie promował wydaną 20 lat wcześniej książkę swojego autorstwa „Mity edukacji seksualnej". W dziele szczegółowo wyjaśniał, że gdy dzieci nie znajdują miłości rodzicielskiej, szukają jej w życiu seksualnym, a rodziców zachęcał do wpajania bachorom abstynencji seksualnej.

Kolejne pokolenia młodocianych obywateli wychodziły ze szkół głupsze, niż do nich wchodziły, bo o ruchaniu więcej dowiadywały się na podwórkach i z niemieckich pornoli oglądanych nocą z satelity. Przez lata zmieniały się mass media, a w edukacyjnym nurcie pozostawały dwie stałe: młodzieńcza chuć i katolicki bełkot wychowania do życia w rodzinie. Niespodziewanie na horyzoncie błysnęła iskra nadziei.

Abecadło

W styczniu bieżącego roku rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec zwrócił się z apelem do Barbary Nowackiej, minister edukacji narodowej, o rozważenie włączenia do programu nauczania nowego przedmiotu o nazwie wiedza o zdrowiu, wzorowanego na przedmiocie wiedza o społeczeństwie. W przesłanym piśmie rzecznik wyjaśnił, że wprowadzenie przedmiotu edukacji zdrowotnej do szkół umożliwi uczniom zdobycie umiejętności niezbędnych do podejmowania właściwych decyzji w związku m.in. ze zdrowiem, prawidłową dietą, prawami i obowiązkami pacjenta, zrozumieniem znaczenia działań profilaktycznych oraz oceną skuteczności szczepień ochronnych.

Dodatkowo edukacja zdrowotna stworzy pole do poruszania kwestii takich jak seksualność, profilaktyka zdrowia psychicznego, unikanie ryzykownych zachowań czy szacunek do seksualności osób nieheteronormatywnych. Przekładając z urzędniczego na nasze – znormalizuje przeżartą przez bogoojczyźnianą pleśń szkołę, a przy okazji przyniesie rezultaty w postaci poprawy jakości życia oraz leczenia przyszłych pokoleń pacjentów. Pomysłowi na jednej z konferencji przyklasnęły minister zdrowia Izabela Leszczyna i minister edukacji Barbara Nowacka. Huk pękających katolickich dup rozbrzmiał pogłosem jak Polska długa i szeroka.

Amerykańska Akademia Pediatryczna oraz Światowa Organizacja Zdrowia wyróżniają trzy typy edukacji seksualnej. Typ A – abstynencyjna edukacja seksualna, typ ukierunkowany głównie na zachowanie abstynencji seksualnej przed zawarciem związku małżeńskiego. Typ B – ogólna edukacja seksualna, w modelu tym zwraca się uwagę na abstynencję seksualną jako zachowanie opcjonalne, ale także przedstawia się zasady antykoncepcji i bezpiecznego seksu oraz rzetelne informacje o anatomii, fizjologii i biologii różnic płciowych i zachowań seksualnych. Typ C – holistyczna edukacja seksualna, zawierająca elementy typu B, ale przedstawiająca je w szerszej perspektywie w odniesieniu do wzrostu i rozwoju osobniczego oraz seksualnego.

Teresa Król, matrona typu A, i Magdalena Guziak-Nowak najgłośniej prychnęły przy „bezpiecznym seksie". Seksualność w typie C nazwały „użyciem sobie". O kurwa, no przecież właśnie o to chodzi!

Seks, którego nie ma

Z rozczuleniem obserwowałam, jak panie całkiem po katolicku zachwycały się, że w Polsce, w przeciwieństwie do krajów rozwiązłego jak rozlazłocipa prostytutka Zachodu, odsetek nastolatków z inicjacją seksualną w wieku 15 lat wynosi zaledwie 16,4 proc. wśród chłopców, a 10,1 proc. wśród dziewcząt. Dla porównania w Wielkiej Brytanii to kolejno 55 i 45 proc. Z raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę wynika, że obecnie inicjacja seksualna odbywa się między 15. a 18. rokiem życia, natomiast aktywność seksualna przed ukończeniem 18. roku życia dotyczy 80 proc. polskich nastolatków. Wyniki tych badań są jednak mocno dyskusyjne, gdyż wskazuje się, że tradycyjne wartości i normy kulturowe mogą wpływać na ukrywanie, a nawet wypieranie faktycznych informacji na temat doświadczeń seksualnych. To jeden ze skutków braku edukacji w tym zakresie.

Idylliczne – nomen omen – pierdolenie o tym, że Polska ma najniższy wskaźnik, jeśli chodzi o liczbę zdiagnozowanych przypadków HIV i AIDS na 100 tys. mieszkańców (w kraju nad Wisłą wynosi 2,39 podczas gdy w Wielkiej Brytanii 13,26, przy czym kraj ten przeznacza ok. 160 mln funtów na lekcje edukacji seksualnej, a jak podkreśliła Król, skutki widać gołym okiem) też nijak ma się do rzeczywistości. W grupie polskich nastolatków nie tylko nie są prowadzone badania przesiewowe na obecność HIV, ale – jak wskazują specjaliści – od lat brakuje edukacji w zakresie chorób przenoszonych drogą płciową. Zderzenie katolickiej wstrzemięźliwości z młodocianym popędem ma jeszcze inne ciekawe w swej grozie skutki: seks oralny i analny nienaruszające błony dziewiczej, w dodatku bez gumki, mogą mieć smarkate konsekwencje. Niekiedy zdarzy się, że panienka pójdzie do ślubu z wiankiem, ale i przerzutem na wątrobę z migdałka po nowotworze wyrosłym z zakażenia wirusem brodawczaka ludzkiego.

Zżymają się obrończynie życia i błony dziewiczej nad edukowaniem dzieciarni o prawach pacjenta. Lekarze ginekolodzy, którzy widzą dalej niż poza czubek różańca, od lat apelują o zmiany w prawie o opiece ginekologicznej dla nastolatków.

Po ukończeniu 15. roku życia, a przed ukończeniem lat 16 badanie lekarskie za zgodą rodzica, informowanie go o podjęciu współżycia czy wyrażenie zgody na stosowanie antykoncepcji są absurdalne, gdy 15-letni obywatel może na legalu uprawiać seks.

Idąc dalej tym tropem, za obowiązkową należy uznać edukację pacjentek, że odmowa przepisania środków antykoncepcyjnych przez wzgląd na światopogląd lekarza, odmowa założenia spirali antykoncepcyjnej w ramach NFZ czy uwagi dotyczące jej życia intymnego są bezprawne.

„Najlepszy seks nastolatków, to taki, którego nie ma" – wysnuła w ramach podsumowania Magdalena Guziak-Nowak. Myślenie życzeniowe można włożyć tam gdzie żywoty świętych – między bajki. Patrzenie na problematykę seksualności przez pryzmat własnych lęków i doświadczeń to jedno, a wciskanie ich innym to zbrodnia.

Jeśli Barbara Nowacka poważnie pójdzie na udry z Kościołem i jego wyznawcami, ma szansę zostać ministrem edukacji, a nie poszczególnych grup interesów związanych ze szkołą. Skoro nowa władza w Polsce nie ma jaj, żeby wyplenić z państwowej edukacji lekcje religii, niech pokaże potencjał w innym miejscu – zawsze to jakaś rekompensata dla potomnych.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl a131345924

Formacja nieżywych prawd

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Izby rzemiosła prowadzą 450-godzinne kursy przygotowujące do uzyskania tytułu zawodowego czeladnika w wielu tak sensownych fachach jak hydraulik, elektryk czy mechanik pojazdów samochodowych. Ba, żeby nauczyć się lakiernictwa czy blacharstwa wystarczy zaliczyć 250 godzin kursu. Takie dwu-, trzymiesięczne kursy to w przypadku hydraulika 100 godzin teorii i 350 godzin praktyki pod okiem fachowców. By być blacharzem, wystarczy 50 godzin w ławce i 200 w warsztacie.

Jeśli kalendarzowy rok liczy 52 tygodnie, to gdy odliczymy wakacje, ferie i przerwy świąteczne, dla równego rachunku można przyjąć, że rok szkolny ma 40 tygodni. W każdym tygodniu szkolnym są dwie lekcje religii, czyli 80 w roku. Młody człowiek mający ortodoksyjnych religijnie rodziców w czasie całej swojej 16-letniej edukacji na katechezie spędza więc 1280 godzin lekcyjnych. Poznaje w tym czasie tylko teorię. Nie zalicza zajęć z odprawiania mszy, udzielania sakramentów czy spowiadania. Po odbębnieniu setek godzin nie ma więc nawet najmniejszych kwalifikacji, by być księdzem czy nawet zakonnicą.

Dwie rączki małe

Katecheza jest prowadzona zgodnie z „Podstawą programową katechezy Kościoła katolickiego w Polsce", czyli oficjalnym stanowiskiem Episkopatu. Założenia podstawy są proste. Lekcje religii mają w przedszkolu wprowadzić w życie religijne. W kl. I–IV szkoły podstawowej – przygotować do komunii, natomiast przez resztę podstawówki – „pogłębiać przylgnięcie do Chrystusa przez proces mistagogii". Po czymś takim w szkole średniej katechetom zostaje już tylko „budować tożsamość chrześcijańską, umożliwiającą dawanie świadectwa życia chrześcijańskiego".

Rzecz ma się więc tak, że edukację religijną Polak mały zaczyna już w przedszkolu. Dzieciak, który tam trafia, ma trzy lata i na początek edukacji katechetycznej dowiaduje się, że ma ojca. Niekoniecznie tego, którego za ojca uważał. Ojcem dzieciaka jest bowiem Bóg. Zresztą ojcem jego ojca i matki, i dziadka, i babci, i nawet cioci też jest ten sam Bóg. A ponieważ wszyscy ludzie są dziećmi Boga, to wszyscy są przez Boga kochani. W ramach tej miłości wszystko, co dzieci mają, jest darem Bożym, bo to Bóg stworzył to, co jest wokół. Na dodatek świat zapełniony jest takimi istotami jak: Bóg Ojciec, Jezus Chrystus, Duch Święty, Maryja, święci i aniołowie. I trzeba się do nich modlić. Ale modlić mogą się tylko ochrzczeni, bo to oni są rodziną dzieci bożych.

Ochrzczeni biegają do kościoła i wykonują tam różne gesty, których dzieciak też musi się nauczyć. Ma też poznać podstawowe przedmioty znajdujące się w kościele: krzyż, ołtarz, tabernakulum.

Czterolatek musi wiedzieć, skąd Jezus wziął się na krzyżu i dlaczego on też kocha dzieci. No, chyba że dziecko zachowuje się niegodnie i wtedy Jezus kocha dziecko inaczej.

W zaleceniach Episkopatu dotyczących prowadzenia religii w przedszkolach publicznych państwa, którego konstytucja ma zapis mówiący, że „władze publiczne zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych", jest przykazanie dla dyrekcji, aby zadbały o to, by „w pomieszczeniach przedszkolnych znalazł się tzw. kącik religijny zawierający elementy związane z procesem wychowania religijnego (obrazy, figury religijne, krzyż, Pismo Święte, różaniec, świeca itp.)".

Po takiej przepierce kształtującej się osobowości w maluchu kończącym przedszkolną religię Kościół ma już niemal kompletnego katolika. Takiego, co zna parę paciorków, boi się Boga i wie, że ksiądz ma zawsze rację, a nawet wyjaśnia, „dlaczego niektórych przyjaciół Pana Jezusa nazywamy świętymi. No i wykonuje „gesty religijne typowe dla chrześcijanina", acz nie takie jak Mariusz Kamiński w sejmie, bo jest on przecież ateistą.

Komuniści

Po skończeniu przedszkola dzieciak trafia do podstawówki i tam przez trzy lata szykuje się do pierwszej komunii. Jeśli niektórzy rodzice łudzą się nadzieją, że dziecko dzięki szkolnej nauce religii pozna trochę pojęć funkcjonujących w kulturze, to się mylą. Zamiast wprowadzania pojęć związanych z kodem kulturowym na ich niewiniątka czekają katecheci z episkopatowym programem edukacji dla pierwszych czterech klas. Ten zaś stanowi, że „celem katechezy na poziomie edukacji w klasach I–IV jest przede wszystkim przygotowanie uczniów do pełnego uczestnictwa w Eucharystii oraz sakramencie pokuty i pojednania. Katecheza na tym etapie jest wprowadzeniem w podstawowe treści wiary oraz budzeniem zaufania do Boga".

Ryje się więc dziecięce główki tym, że powinność religijna to obowiązek i posłuszeństwo starszym, a Bóg jest stróżem tej powinności. Tak naprawdę jednak praca katechetów w pierwszych klasach podstawówki polega na przygotowaniu dzieci do pierwszej komunii i rocznicy pierwszej komunii. Na początek powtórka z przedszkola. Im bliżej komunii, tym więcej pamięciówki. Dzieciarnia musi zakuć milion modlitw i wyliczanek z religijnych kanonów typu dekalog, grzechy główne, przykazania kościelne i takie tam. Potem leci się z materiałem potwierdzającym wiarę w zmartwychwstanie Jezusa i opowieści o zesłaniu Ducha Świętego. Następnie jest przymierzanie komunijnych ubranek, kilka prób przed komunią i wreszcie dzieci z głęboko religijną nabożnością mogą dostawać tablety, konsole, quady czy inne laptopy. W czwartej klasie zaczyna być nudno, szczególnie dlatego, że duża część dzieciaków chodzących na religię już na nią nie chodzi, bo obowiązek zrobienia komunii dla babci został przez rodziców odfajkowany.

Ci którzy zostali, muszą się nauczyć wskazywania, „w jaki sposób można wyrazić wdzięczność Panu Jezusowi za dar jego ofiary. Opowiadać o wierze w powtórne przyjście Jezusa i o misji Kościoła. Wyjaśniać takie pojęcia jak anioł, szatan, zbawienie, grzech, prorok, apostoł". Do jedenastolatka będzie też należało „określenie sposobów walki z grzechem, omówienie wybranych przypowieści Jezusa", tudzież „uzasadnienie, dlaczego niedziela jest najważniejszym dniem chrześcijanina". Niektórzy czwartoklasiści w ramach pracy domowej mają też własnoręcznie zilustrować modlitwę „Ojcze nasz" ze szczególnym uwzględnieniem „i nie wódź nas na pokuszenie".

Podstawa programowa zakłada, że po zakończeniu IV klasy uczeń będzie tak światły, że wymieni z pamięci rzecz dla każdego w życiu najistotniejszą, czyli świętych, którzy stali się wzorami modlitwy. Ba, wskaże teksty przykładowych modlitw świętych. Nie wspominając już o tym, że jedenastolatek opanuje – niczym w formularzu – „warunki spełnienia modlitwy", a na dodatek „prawidłowo formułuje prośby do Boga". Bo jak wiadomo, nieprawidłowo sformułowane prośby są nieważne.

Antykoncepcja bierzmowania

Niedobitki uczniów, którzy zasuwają na religię w klasach V–VIII, są „formowane do uznania Objawienia jako źródła prawdy o Bogu oraz o człowieku i sensie jego życia" przy pomocy katechezy mistagogicznej. O mistagogii Wikipedia mówi, że jest to pojęcie religijne oznaczające wprowadzanie w misterium – duchową tajemniczą rzeczywistość. W katolicyzmie jest ona określana jako wtajemniczenie chrześcijańskie. Jeśli dla kogoś już to samo nie brzmi wystarczająco sekciarsko, to może o kościelnych socjotechnikach trzepiących jaźń młodych ludzi przekona go podstawa programowa. Ta zakłada, że po kolejnych latach katechizacji młody człowiek będzie tak uformowany, że będzie głosił „prawdę o dobroci stworzonego świata". „Prawdę o zmartwychwstaniu umarłych" zresztą też. Tak jak „wyjaśni, że wszystko, co stworzył Bóg, jest dobre". Z wyjątkiem zła, które pewnie wzięło się samo z siebie, bo wszak młody człowiek wie, że „zło jest konsekwencją odrzucenia Boga".

W ósmej klasie uczeń musi umieć „wskazać przyczyny zła", które jest zresztą tym samym co grzech. Skutki zła też ma mieć w małym palcu. Nie wspominając już o tym, że 15-latek obudzony w środku nocy winien wyrecytować „sposoby działalności złego ducha" i „wyjaśnić, czym jest piekło". „Sens wiary w czyściec" też powinien znać, acz tylko w kontekście „nauczania Kościoła o odpustach". Gdyby bowiem przyjrzał się ekonomicznej stronie wykupywania sobie wieczności za kasę i doszedł do wniosku, że to jakieś średniowiecze, to mógłby nie dostrzec „związku między wiarą w czyściec i miłosierdziem Bożym". Którą podstawa programowa Episkopatu dostrzegać mu każe.

Poza tym 15-latkowi nie może być obce „pojęcie antykoncepcji, jej rodzaje i ocena stosowania poszczególnych środków antykoncepcyjnych w aspekcie medycznym, psychologicznym, ekologicznym, ekonomicznym, społecznym i moralnym". Ma mieć zakute „różnice między antykoncepcją a naturalnym planowaniem rodziny, zapłodnieniem in vitro a naprotechnologią" i musi umieć „uzasadnić zło aborcji, eutanazji, zapłodnienia in vitro oraz kary śmierci". Jak też wyśpiewać z pamięci „inicjatywy mające na celu obronę życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci (np. duchową adopcję dziecka poczętego)". Wyśpiewanie to jednak nie wszystko. Według speców od katechetycznych socjotechnik uczeń winien „podejmować inicjatywy mające na celu obronę życia od poczęcia do naturalnej śmierci".

Nastoletni polski katolik musi być świadomy, że nie wziął się znikąd.

Winien znać „rolę Maryi w historii Polski dla zachowania wolności i tożsamości chrześcijańskiej Polski: cud nad Wisłą, akty oddania Polski Maryi i Jej Sercu w latach 1946 oraz 1966 i ich owoce". Nie może też nie znać „początków komunizmu w Polsce", powinien zakuć „postawy Polaków wobec nowych władz, ze szczególnym uwzględnieniem oporu zbrojnego (żołnierze niezłomni [wyklęci])".

I – skoro podstawa programowa o tym nie wspomina – chyba nie może wiedzieć o skali kolaboracji księży katolickich z UB.

Po opanowaniu tego wszystkiego młody człowiek będzie mógł dostąpić celu uczenia się religii w starszych klasach podstawówki – bierzmowania.

Nierządne gender

W szkołach ponadpodstawowych na religię nie chodzi niemal nikt. Przez to nie będzie mógł „podać przykładów wpływu zabobonu, bałwochwalstwa, wróżbiarstwa, magii, ateizmu, symonii na relację z Bogiem", nie wymieni też „współczesnych bożków". Nie „uzasadni, iż nie da się pogodzić ezoteryki z wiarą chrześcijańską" ani „wyższości prawa Bożego nad prawem stanowionym". Nie przedstawi, jak też nie uzasadni „nauki Kościoła na temat in vitro". Nie „opisze grzechów przeciw VI i IX przykazaniu (nierząd, prostytucja, gwałt)". A co gorsza – nie pozna „zagrożenia ideologii gender, odnosząc ją do niewłaściwie definiowanej relacji natura–kultura". Nie wspominając już o tym, że taki niechodzący na religię licealista nie zaangażuje się w „rozwój i działalność Kościoła", a tym bardziej nie wystąpi – jak chcieliby twórcy podstawy programowej – „w jego obronie w Polsce". Bo mądrzejszy od minister Nowackiej licealista na takie koszałki-opałki nie ma ani nastroju, ani czasu.

TADEUSZ JASIŃSKI

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl a131345924

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Prawdziwy ateizm*** *szanuje korzenie narodu. Nie prowokuje wierzących,* ***chroni wartości wyrosłe z Dekalogu (co jest korzystne też dla niewierzących), podtrzymuje katolicki kulturowy kod****. Niestety w PL ateistów niewielu. Za to sporo ochrzczonych neopogan i ideologicznych barbarzyńców.*

Ks. Daniel Wachowiak, X, 14 lutego

■ ***Rolnicy są tradycyjnymi ludźmi, którzy wspierają rodzinę, Kościół, są konserwatywni,*** *mają swoje środki do produkcji i nie pasują do Europy, jaką chce zafundować* ***lewacki, neomarksistowski nurt****. W związku z tym trzeba ich zniszczyć, a ziemię przejmą wielkie firmy, które będą produkować żywność marnej jakości, a rolnicy, jakich znamy, nie będą potrzebni.*

Jan Krzysztof Ardanowski (PiS), TV Trwam, 17 lutego

■ *Doświadczenie wolności dzieci Bożych jest możliwe dzięki osobiście potwierdzonej wierze w Boga w Trójcy Świętej Jedynego. […] Niestety, to wielkie dobro nauczania i wychowywania młodych pokoleń w prawdzie o Bogu i o człowieku, a w konsekwencji przekazywania im najwspanialszych wartości humanistycznych, jest ostatnio bardzo zagrożone. W imię laickich ideologii i w imię życia „jakby Boga nie było" pragnie się powrócić do nieszczęsnych dziesięcioleci PRL-u, o których Jan Paweł II mówił w 1991 r. w Lubaczowie jako o czasie gdy* ***„doświadczyliśmy […] wielkiego katolickiego getta, getta na miarę narodu"****. Stąd rodzi się dramatyczne pytanie:* ***dlaczego po raz kolejny*** *w naszych najnowszych dziejach* ***o obliczu ideowym i o wierze zdecydowanej większości obywateli Rzeczypospolitej Polskiej ma decydować ich wyraźna mniejszość?***

Abp Marek Jędraszewski, Biuro Prasowe Archidiecezji Krakowskiej, 17 lutego

■ *Pragnę przypomnieć, że już w wolnej Polsce, po tzw. wolnych wyborach trwało zmaganie o przyznanie* ***Telewizji Trwam*** *miejsca na multipleksie. 10 lat temu, w nocy z 14 na 15 lutego, sprawowaliśmy Eucharystię razem z ks. abp. Zygmuntem Zimowskim, dziękując Bogu za to* ***zwycięstwo Maryi, kolejny Jej znak dla narodu polskiego****. Jednocześnie trzeba powiedzieć, że było to wyrazem siły modlącej się wspólnoty, dlatego uwierzmy w moc modlitwy w intencji Kościoła i Ojczyzny.*

Abp Wacław Depo, Apel Jasnogórski, 15 lutego

■ *Dla obecnego rządu właśnie te media (środowiska Radio Maryja – red.) są przeciwnikami ideowymi, które trzeba wyeliminować z przestrzeni publicznej, bo są podmiotami, które ośmielają się głosić niezgodne z rządowym przekazem poglądy. […]* ***Walka z naszymi prawicowymi mediami będzie coraz bardziej bezwzględna, nie mam co do tego wątpliwości. Stawką jest przecież suwerenność naszej Ojczyzny****. […]* ***Zostały nam tylko Radio Maryja, Telewizja Trwam i Telewizja Republika,*** *ale przecież to są media znowu jakby drugoobiegowe, niskobudżetowe, które tworzą treści nadzwyczajnym wysiłkiem, kreatywnością i pracowitością swoich zespołów dziennikarskich.*

Jolanta Hajdasz, dyr. Centrum Monitoringu Wolności Prasy, Radio Maryja, 13 lutego

■ *Spodziewam się, że wkrótce będą zakazane* ***wykopaliska archeologiczne,*** *ponieważ są one* ***homofobiczne****. Jak znajdą jakieś kości, to zawsze są mężczyzny lub kobiety. A gdzie miejsce na inne płcie?*

Ks. Janusz Chyła, X, 16 lutego

KLECHA

Dziecko jako własność rodziców.

Nad losem przyszłości narodu, czyli dziatwy polskiej, czuwa Instytut Kultury Prawnej Ordo Iuris, organizacja katoprawicowych fundamentalistów. Czuwanie owo odbywa się permanentnie i wszechogarniająco. Wydawałoby się więc, że możemy spać spokojnie. Otóż nie bardzo.

W chwili, gdy jeszcze nie powołano nowego rządu, jeszcze nie poznaliśmy jego składu, Ordo Iuris już obwieścił na swojej stronie internetowej – piórem adwokata Rafała Dorosińskiego, członka (a jakże!) zarządu OI – że nad niepokalaną dziatwą polską wisi niebezpieczeństwo. Wystarczyło tylko, że nowa koalicja rządząca powołała na stanowisko rzecznika praw dziecka Monikę Horną-Cieślak, co nastąpiło pod koniec listopada 2023 r. Zajęła ona miejsce Mikołaja Pawlaka; jego główną zasługą na stołku RPD było to, iż miewał widzenia, w których tropił objawiające mu się tabletki na zmianę płci w plecakach szkolnej dziatwy oraz hordy edukatorów seksualnych nawiedzających szkoły i dilujących tymi tabletkami. Oczywiste było, że po takiej i paru podobnych w swej wymowie autoprezentacjach rzecznika PiS-u do spraw dzieci każdy, kogo nowy rząd posadzi na fotelu RPD, będzie lepszy i zajmie się naprawdę sprawami dzieci i młodzieży, a nie pisowskimi fiksacjami seksualnymi na ten temat. Nic przeto dziwnego, że na całą katoprawicę padł blady strach w związku z tą nominacją.

Przyjdzie potwór, dzieci zje

Adwokat Dorosiński w tekście o błyskotliwym tytule „Dzieci w niebezpieczeństwie!" (opublikowanym 11 grudnia 2023 r. na stronie internetowej OI) tak pisze o wyborze Hornej-Cieślak: „Ten wybór musimy odczytywać jako zapowiedź radykalnej zmiany polityki i nadchodzącego rządowego wsparcia dla genderowej rewolucji w polskich szkołach. Rzecznik już zadeklarowała, że będzie popierać promowane przez aktywistów LGBT »tęczowe piątki«. A to dopiero początek…". No jasne! Do polskiej szkoły wkroczy zły Potwór Dżęder i zje niewiniątka.

Jednakowoż ducha nie gaście! Świta bowiem nadzieja. A jest nią ni mniej, ni więcej, tylko sama konstytucja. Ona bowiem daje pierwszeństwo wychowawcze rodzicom. Bez ich zgody rząd nie może poddawać dzieci „seksedukacyjnym eksperymentom" – oznajmia ordoiurisowy członek.

Domniemywać należy, że Rafał D. ma na myśli art. 48. pkt. 1 konstytucji, który daje rodzicom prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Argument w postaci tego artykułu jest wyciągany zresztą zawsze i przez wszystkie strony sporu politycznego, ilekroć mowa o kwestiach związanych z edukacją, a szczególnie jej aspektami światopoglądowymi.

Jak jednak wynika z tekstu Dorosińskiego, OI zakłada, że przekonania rodziców są tożsame z przekonaniami katoprawicowych talibów, dlatego chce używać tego artykułu jako broni przeciwko niecnym knowaniom rządu i rzecznika praw dziecka, którzy chcą w polskiej szkole urządzić moralny holokaust dziatwy polskiej. Jesteśmy przekonani, że to założenie bardzo na wyrost. Stawiamy dolary przeciwko orzechom, że znaczna (jeżeli nie większa) część rodziców widziałaby swoje prawo do wychowywania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami w ten sposób, że pierwszą rzeczą, jaką należałoby zrobić w tej kwestii, byłoby odstawienie raz na zawsze od ich dzieci kolesi z Ordo Iuris i wszystkich ich mentalnych kumpli.

Dwie ministry i chęć szczera

Nauczyciel udaje, że uczy, uczeń – że coś kuma, a ministerstwo edukacji – że reformuje.

Sondażownie wykazały, że genialny plan Tuska i ministry Barbary Nowackiej, polegający na likwidacji prac domowych, genialny nie jest. A nawet wręcz przeciwnie, bo rodzice i korepetytorzy nie będą teraz wiedzieli, czego ucznia nie nauczył podający się za matematyka ćwierćinteligent lub polonistka analfabetka.

Barbara Nowacka i Katarzyna Lubnauer łażą po mediach i opowiadają, jaką to fajną szkołę chcą zafundować uczniom. Próbują wyjaśniać, na czym ma polegać zapowiedziana na kwiecień 2024 r. likwidacja prac domowych. Idzie tak sobie, bo choć kierunek słuszny, to przekaz wątpliwy, oczekiwania nierealistyczne, interwencja w system nauczania nadmierna, a w dodatku z pozycji przemądrzałego centrum, które powie szkołom, jak ma być. Bo jest bardzo źle. „W klasach I–III te wyklejanki, wycinanki, które po nocach robią rodzice… A później nadmiar rzeczy do nauczenia się, zapamiętania również w domu kosztem zajęć dodatkowych, spotkań z przyjaciółmi… Koniec z horrorem wyklejanek albo karmników. Prace domowe nie będą ani oceniane, ani obowiązkowe. Nauczyciel może zadać, ale nie ma prawa ocenić, nie ma prawa wstawić jedynki za brak pracy" – głosi Nowacka i zapowiada specjalne rozporządzenie.

To, że wywoła ono strajki w szkołach, jest pewne. Związek Nauczycielstwa Polskiego nie odpuści art. 12. p. 2. Karty Nauczyciela, stanowiącego, że nauczyciel ma prawo do swobody stosowania metod nauczania i wychowania, jakie uważa za najwłaściwsze spośród uznanych przez współczesne nauki pedagogiczne.

Dlatego wbrew opowieściom pań rządzących edukacją nauczyciel będzie nadal mógł legalnie kazać robić w domu zadania z fizyki czy pisać wypracowanie z polskiego, a potem stawiać za nie stopnie. I wcale nie dlatego, że mu się chce. Pamiętajmy, że belfrzy, żeby utrzymać niskie pensum godzin dydaktycznych, opowiadają, ile to czasu w domach spędzają nad czytaniem wypracowań i ocenianiem klasówek. Jeśli więc części tego nie będą musieli robić, to za chwilę MEN rozpocznie gadkę o podniesieniu liczby godzin do spędzenia przez nauczycieli w znienawidzonej przez nich szkole. A tego pan czy pani zrzeszeni w ZNP bardzo by nie chcieli.

Zafiksowane Tuskiem ministry muszą robić dobrą minę do obietnicy wyborczej, choć wiedzą, że praca domowa wyrabia nawyk samodzielnego uczenia się, poza tym może być rozwijająca i twórcza. Pod tym wszakże warunkiem, że w domu uczeń przypomina sobie i utrwala to, czego dowiedział się na lekcji. Wtedy praca domowa odrabia się sama. W Polsce tak nie jest. Dzieciaki na lekcjach mają sprawdziany i zadania do domu. Niemal nikt im nie tłumaczy nowego materiału. Dlatego samodzielne odrabianie przez nie lekcji jest niemożliwe. Muszą skorzystać z pomocy rodzica lub korepetytora, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. To dlatego domowe ślęczenie nad lekcjami jest wielogodzinną torturą dla całej rodziny.

W 2015 r. w kilkunastu krajach zapytano nauczycielki i nauczycieli matematyki, jak często coś zadają. Wyszło, że w Szwecji połowa nauczycieli nie zadaje wcale, ale w Finlandii 83 proc. zadaje 3–4 razy w tygodniu, a 7 proc. – codziennie. W Polsce – odpowiednio 49 proc. i 45 proc., w Rosji – 58 proc. i 41 proc. Szko-

eprasa.pl a131345924

Donosząc na starych

Gdyby więc nagle okazało się, że to nie edukatorzy z wyspecjalizowanych organizacji (którzy mogą zapewnić dzieciom i młodzieży w miarę sensowną, nowoczesną i dostosowaną do wieku edukację seksualną), ale właśnie czarni katotalibowie (wciskający dziatwie kit i siejący wśród niej ciemnotę, zabobon oraz tresujący do posłuszeństwa i wpasowania się w tryby patriarchatu) mają – z woli rodziców – wypadać ze szkół, to my wcale byśmy się nie zdziwili. Uważamy nawet, że jest to wielce prawdopodobne, zważywszy że współcześni rodzice dziatwy szkolnej (od I klasy podstawówki do IV klasy liceum) to ludzie w przedziale od dwudziestu kilku do pięćdziesięciu kilku lat. Oni sami zostali wychowani już w czasach, w których nauczanie w stylu Ordo Iuris, capiące na kilometr naftaliną z kruchty, stało się po prostu obciachem. I pozostaje nim do dziś.

Ze sporym prawdopodobieństwem można więc założyć, że w wielu szkołach rodzice zwyczajnie będą sobie życzyli rzetelnej edukacji seksualnej dla swoich dzieci, natomiast niekoniecznie chętnie muszą widzieć czarne sotnie indoktrynujące religijnie młodych ludzi. Czyli mogą zechcieć przepędzić z tych szkół zarówno personel naziemny Pana B. nauczający religii, jak i cywilnych katotalibów (w rodzaju funkcjonariuszy OI) próbujących mieszać dzieciom w głowach za pomocą prawackich fiksacji seksualnych.

Drugie zdanie

A niechby się tak nawet nie stało. Przypuśćmy, że większość rodziców da się zwieść katastroficznej wizji OI. Co wtedy? Dochodzimy do kolejnego problemu, który polega na tym, że OI dość wybiórczo traktuje ów pkt. 1. art. 48. konstytucji, uważając – jak można sądzić – że jeżeli daje on prawo rodzicom do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami, to jest to równoznaczne z tym, że o treściach, jakie są przekazywane dzieciom w szkołach, decydują wyłącznie rodzice. A guzik!

Nie wiedzieć bowiem czemu, ilekroć katoprawaki powołują się na ten przepis, całkowicie zapominają o jego drugiej części. A tymczasem wcale nie ogranicza się on do dania rodzicom prawa wychowywania dzieci według swoich przekonań. W całości brzmi on bowiem tak: „Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Wychowanie to powinno uwzględniać stopień dojrzałości dziecka, a także wolność jego sumienia i wyznania oraz jego przekonania". Czyli mówiąc po polsku: jeżeli bachor ma całkiem odmienne przekonania niż jego starzy, to ci mogą se w buty wsadzić swoje prawo do wychowania dziecka według swoich przekonań. No bo – jeśli chcą być w zgodzie z konstytucją – nie mogą stawiać własnych przekonań ponad przekonania dziecka. Powinni uwzględniać to, co myśli progenitura. A że czasem myśli inaczej niż rodzice, to oczywiste. Któż z nas nie był dzieckiem i któż z nas, przynajmniej w jakimś okresie dorastania, nie uważał, że cały system przekonań rodziców to syf z naftaliną?

O ile więc pierwsze zdanie pkt. 1. art. 48. konstytucji jest jak najbardziej po myśli katoprawaków, o tyle drugie – niekoniecznie. Dlatego zapewne omijają je skwapliwie, oferując rodzicom rzekomą pomoc w ich walce z Potworem Dżęder i innymi wymysłami liberałów, lewaków i lobby LGBT. Ze zdania drugiego wynika bowiem, że dziecko nie jest tak całkiem własnością swoich starszych, jak – jak się wydaje – uważają katoprawccy kolesie.

Konstytucja daje dziecku własną podmiotowość, nakazując rodzicom uwzględnianie przekonań dziecka, a nawet jego wiary (z czego wynika, że jak najbardziej nie musi być ona zgodna z wpajaną przez rodziców i Ordo Iuris).

Podkreśla to zresztą także przy okazji innego przepisu – art. 72., pkt 3.: „W toku ustalania praw dziecka organy władzy publicznej oraz osoby odpowiedzialne za dziecko są obowiązane do wysłuchania i w miarę możliwości uwzględnienia zdania dziecka".

Bądź jak Pawka Morozow

Jak zawsze, gdy czyta się wynurzenia chłopaków z OI, trudno oprzeć się wrażeniu, że całe to ich ględzenie nie jest w niczyim interesie poza samym OI. Upatrywanie wszędzie moralnych zagrożeń i tworzenie atmosfery konieczności walki z nimi za wszelką cenę pod groźbą zagłady cywilizacji jest istotą funkcjonowania takich organizacji. Dlatego będą robić wszystko, by utrzymywać istniejący stan rzeczy i nie dawać prawa młodym do przynajmniej częściowego wpływu na to, czego są uczeni. Mechanizm zawsze jest ten sam: trzeba wymyślić wroga (tym razem jest to i RPD, i rząd realizujący pomysły światowego lobby LGBT), roztoczyć wizję zagrożenia, jakie stwarza i w końcu zaproponować pomoc w walce z nim. A to wszystko oczywiście pod hasłem dbałości o dobro dzieci.

Gdyby takim katotalibom rzeczywiście chodziło o dobro dzieci, musieliby przyznać, że rodzice nie powinni mieć nie tylko decydującego głosu o tym, czego są uczone ich dzieci, ale w ogóle żadnego. Bo skąd bierze się przekonanie, że rodzice wiedzą najlepiej, co jest dobre dla ich dzieci? Historia uczy, że jest raczej wprost przeciwnie. Rodzice przez sam fakt stania się rodzicami nie otrzymują patentu na właściwe wychowanie dzieci. W zasadzie nie mają żadnych innych pomysłów na wychowanie własnych dzieci poza wypuszczeniem w dorosłe życie emocjonalnie potłuczonych frustratów, którzy później wyprodukują takich samych emocjonalnie potłuczonych frustratów. Stosowane do tej pory metody wychowawcze jedynie to potwierdzają. I tak to się ciągnie przez wieki… Dopiero teraz doczekaliśmy się refleksji na temat dotychczasowych metod wychowawczych i edukacyjnych oraz wzajemnych relacji rodzic–dziecko. Dziś coraz więcej psychologów skłania się ku uznaniu prawdy, że każdy człowiek ma w życiu dwa podstawowe problemy: matkę i ojca. I że w dużej mierze to one decydują o tym, jak bardzo jesteśmy do życia nieprzygotowani. Postawa OI nie jest – w świetle tego – niczym innym jak dążeniem do zachowania status quo. Czyli żeby łańcuszek produkcji emocjonalnie potłuczonych frustratów nie został przerwany.

A więc: młoda dziewczyno, młody chłopaku i ty, co nie identyfikujesz się jednoznacznie! Pamiętajcie, że jeżeli wapno za bardzo będzie wam narzucać swoje przekonania, nie licząc się z waszymi, to zawsze możecie być jak Pawka Morozow: możecie donieść na starych. Macie teraz swojego rzecznika. Swojego, a nie partii pewnego starszego pana z Żoliborza.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

EDYTA BAKER

da tylko, że nikt w tych krajach nie pokusił się o uzyskanie odpowiedzi na pytanie, ile czasu dzieciakom zajmuje wykonanie zadań z matmy.

Lubnauer mówiła, że „według badań jedno z najczęstszych uzasadnień zadawania prac domowych brzmi: »Nie mogę zdążyć zrealizować podstawy programowej«. I dlatego odchudzamy podstawę od 1 września". Programy mają być lżejsze od 5 do 20 proc. Podstawy programowe będą opracowywane przez zespoły eksperckie, które „zaczną funkcjonować na początku tego roku". Dodała, że będą one współpracować z Centralną Komisją Egzaminacyjną, żeby – jak tłumaczyła – „nie rozjechały się podstawy programowe z wymaganiami egzaminacyjnymi".

Podstawy programowe obowiązują we wszystkich krajach. Tym, co różni polskie dzieciaki od innych, są przedmioty takie jak język polski, historia i WOS. Na matematyce, chemii, biologii czy fizyce wszędzie muszą nauczyć tego samego. Jaki zatem problem, żeby przepatrzeć systemy edukacyjne pod kątem efektywności nauczania, wybrać najlepsze i na zasadzie kopiuj–wklej w ciągu kilku dni stworzyć podwaliny sensownych programów każdego przedmiotu?

Żadna z szefowych MEN nie wspomniała jednak o tym, że dzięki reformie programów uczniowie będą krócej kwitnąć w szkołach. Teraz starsza młódź zalicza w nich prawie siedem godzin dziennie. Gdyby zredukować zasób wciskanych jej niepotrzebnie informacji i głupich przedmiotów, po wyjściu z budy o godzinę wcześniej mogłaby poświęcić właśnie ten czas utrwalaniu wiedzy w formie prac domowych.

Ale na to nikt w MEN nie wpadł. Wśród polityków również. Wręcz przeciwnie, wszak jeszcze w 2021 r. Lewica proponowała w sejmie zwiększenie do pięciu godzin liczby zajęć z wychowania fizycznego w szkołach podstawowych, a w średnich – do czterech godzin. Tego, że cztery lub trzy godziny wuefu tygodniowo to i tak za dużo, nikt nie zauważył? Szczególnie że prawie połowa uczennic i uczniów nie ćwiczy, bo ma odpowiednie zaświadczenia o niemożności.

Zarzutów do polskiej szkoły nie brakuje. Choćby o autorytarność systemu, który zakłada, że dzieci są z gruntu złe i leniwe i bez straszenia ich ocenami i nauczycielem nie będą chciały się uczyć.

Wszystkich dobija biurokracja wyrażająca się stosunkiem czasu pracy nauczyciela z uczniem do czasu spędzonego na wypełnianiu papierów. Przez monitoring realizacji podstawy programowej nauczyciele dokonują fikcyjnych wpisów w dzienniku. Bo tak naprawdę nie liczy się, co było na lekcji, ale czy w odpowiedniej rubryczce jest wpisana odpowiednia liczba tematów.

Koronnym zarzutem był, jest i będzie brak indywidualizacji nauczania. Znaczy to, że szkoła równa wszystkich do jednego poziomu, niszczy indywidualność i kreatywność. Uczy się dzieci pod testy, gdzie najważniejsza jest zgodność z kluczem i twierdzenie, że tylko jedna odpowiedź może być prawdziwa.

Oczywiście złe są też programy preferujące naukę polegającą na przekazywaniu i zapamiętywaniu faktów. Nie kształtują umiejętności samodzielnego uczenia się i zdobywania wiedzy, wyznaczania celów, motywowania, asertywności, kreatywnego myślenia. Nie przygotowują do życia poprzez uczenie, jak działają banki, ZUS, jakie mamy prawa, jaki możemy mieć wpływ na państwo, jak przyszyć guzik czy zmienić żarówkę. Twórcy programów edukacyjnych zupełnie nie są świadomi tego, że dziś cała wiedza dostępna jest przez internet. Szkoła powinna więc pokazywać, jak korzystać z tej wiedzy, a nie z filmików na YouTubie i lajków w mediach społecznościowych.

Mocnym zarzutem pod adresem polskiej szkoły jest też kreowanie wśród uczniów sztucznej rywalizacji. Co jest absurdem w świecie, gdzie dominuje specjalizacja i nikt nie może wiedzieć wszystkiego. W świecie, gdzie więcej zyskuje się, pracując zespołowo niż samodzielnie.

Ciągłe testy i sprawdziany niszczą wewnętrzną motywację dzieci do zdobywania wiedzy oraz zabierają czas i energię, które mogłyby wykorzystać na realną naukę. Szkole bowiem chodzi o to, żeby dziecko jak najlepiej wypadło na teście, a nie żeby się jak najwięcej nauczyło.

Najgorsze jednak w polskiej edukacji jest złe przygotowanie nauczycieli i dyrektorów. Dyrektorom zarzucić można brak przygotowania menedżerskiego, a nauczycielom – brak przygotowania metodycznego, nieumiejętność pracy z grupą i panowania nad nią. Dla każdego jest jasne, że większość belfrów nigdy nie powinna trafić do tego zawodu.

Skoro na naszej edukacji da się powiesić tyle psów, to pewnie świat się z Polski śmieje? Otóż nie. Od ćwierć wieku poszczególne systemy edukacyjne na świecie porównuje badanie PISA. Mierzy się w nim umiejętności 15-latków, niezależnie od tego, do jakiej szkoły chodzą. Bada się głównie właśnie kompetencje uczniów, a nie książkową wiedzę. W badaniu bierze udział 81 krajów.

PISA z 2022 r. wykazała, że w umiejętnościach z matematyki polscy uczniowie zajęli 15. miejsce na świecie i 6. w Unii Europejskiej. W rozumieniu czytanego tekstu nasi 15-latkowie uplasowali się na 16. miejscu na świecie i 5. w UE. Jeśli zaś chodzi o rozumowanie w naukach przyrodniczych, mamy 17. miejsce na świecie i 5. w UE.

We wszystkich trzech obszarach objętych badaniem PISA 2022 wyniki polskich 15-latków są powyżej średniej dla krajów OECD oraz powyżej średniej uzyskanej przez uczniów z Unii.

Zamiast – jak to zrobili polscy nauczyciele – cieszyć się z tych wyników, wypadałoby zadać pytanie o stan szkolnictwa w innych krajach. Jeśli bowiem beznadziejne polskie szkoły są całkiem niezłe, to w większości rozwiniętych krajów musi być jakiś dramat. Pewnie przez to, że tamtejsze dzieci muszą odrabiać prace domowe?

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl a131345924

Biznes konopny.

Hajowe studia

60 mld dolarów – tyle będzie wynosić globalna wielkość rynku konopi indyjskich w 2028 r., przynajmniej jeśli wierzyć autorom raportu „Cannabis Market Analysis". To jeden z prężniej rozwijających się sektorów światowej gospodarki i należy mu kibicować znacznie bardziej niż o wiele lukratywniejszemu biznesowi zbrojeniowemu przynoszącemu śmierć i zniszczenie na masową skalę.

Wśród co bardziej rzutkich ludzi interesu, także w naszym kraju, zaczęła kiełkować myśl – i niech to ziarno wyda, mówiąc biblijnie, stukrotny plon – że przy okazji takiego boomu na zioło warto by coś uszczknąć z tego tortu. À propos tortu, słodkości wzbogacone marihuaną mają coraz liczniejszą rzeszę smakoszy, toteż podpowiadamy ten kierunek rozwoju branży, jeśli już ktoś jakiejkolwiek podpowiedzi potrzebuje, bo był zbyt upalony, by przyswajać wyłożone wprost pomysły z serialu „Trawka".

Żyjemy – jak by powiedział brytyjski socjolog Anthony Giddens – w epoce refleksywnej nowoczesności, toteż wzbogaciła się („Niech rozkwitnie tysiąc kwiatów" – nawoływał Mao) oferta studiów, które przygotowują do biznesu konopnego. Kiedy Unia Europejska kładzie taki nacisk na kształcenie ustawiczne, osoby z przepalonymi gardłami i chęcią dorobienia się mogą pomyśleć o odpowiednich studiach, tym bardziej że można zacząć naukę od semestru letniego. Jak wiadomo od towarzysza Gierka: Polak potrafi!

Zielono mi

Zacznijmy od świeżynki: nowo otwartego kierunku studiów podyplomowych na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu. Reklama tej ścieżki edukacyjnej głosi: „Tym, co w najbliższych latach będzie wyróżniać najlepiej prosperujące firmy w branży konopnej, będą wysokie kompetencje merytoryczne oraz profesjonalne doradztwo dla klienta. Dzięki studiom na kierunku biznes konopny słuchacze będą mieli szansę na zdobycie i pogłębienie kompetencji miękkich oraz twardych, które zapewnią im przewagę konkurencyjną w branży – niezależnie od tego, jaki obszar tej branży zagospodarują".

Słuchacze studiów mają uzyskać unikalne kompetencje w takich obszarach jak przepisy prawa, medycyna i fizjologia człowieka, zarządzanie biznesem i zarządzanie zasobami ludzkimi. Jeśli mnie pytacie, to gdy w benefitach przedsiębiorstwa będzie bongo i dziesięć gramów zielonego zioła na weekend, to te zasoby ludzkie będą urabiać ręce po łokcie dla dobra firmy. No i studia powinny dać specjalistyczną wiedzę o konopiach, ich uprawie i właściwościach, a także potencjalnych zastosowaniach. Wszak, jak wiadomo z piosenki Piotra Bukartyka, z tego się robi sznurek. Jakkolwiek konopie z sukcesem można wykorzystywać choćby we włókiennictwie, kosmetologii, suplementacji, energetyce, a nawet… produkcji materiałów budowlanych.

Ponieważ dzisiaj życie w dużej mierze sprowadza się do gromadzenia różnych papierków, absolwenci uzyskają tajemniczo, acz uwodzicielsko brzmiący certyfikat praktyka konopnego. Mój niegdysiejszy znajomek, rastaman, był takim praktykiem – samorodnym talentem – konopnym, prosząc Jah, by nadał moc hodowanym w szafie magicznym roślinom. I biorąc pod uwagę, jak skuteczne były jego modlitwy, jak boskie zioło zamiatało po całości uczestników i uczestniczki roślinnych rytuałów, mogłabym nawet rozważyć odejście od ateizmu.

Z kolei Uczelnia Łukaszewski promuje podyplomówkę: konopie – od upraw do 50 tys. zastosowań. A zachęca do skorzystania ze swej oferty w następujący sposób: „W ramach studiów podyplomowych poświęca się także dużo uwagi zagadnieniom związanym z przetwórstwem konopi. Słuchacze uczą się technik przerobu surowców roślinnych na różnorodne produkty konopne, takie jak olejki eteryczne, włókna, kosmetyki, suplementy diety czy preparaty medyczne. Zapoznają się z metodami ekstrakcji, destylacji, suszenia i konserwacji produktów konopnych, a także z regulacjami prawno-administracyjnymi dotyczącymi ich produkcji i sprzedaży".

Uczelnia Łukaszewski zapewnia, że dużo miejsca poświęca kwestii przetwórstwa konopi. Słuchacze uczą się technik tworzenia różnorodnych produktów konopnych – od preparatów medycznych i włókien po olejki eteryczne czy kosmetyki. Jest to zgodne z globalnym trendem powrotu do natury. No i jest to konieczność w epoce globalnych zmian klimatycznych, bo konopi można używać do budowy domów, w ogóle jest to cudowna roślina, co zauważyła nawet ONZ w raporcie sprzed dwóch lat. Hektar konopi wychwytuje między 9 a 15 ton dwutlenku węgla, a jego wyhodowanie zajmuje zaledwie pięć miesięcy!

Państwo i zielarstwo

Oczywiście, polskie państwo zapewne pójdzie prędzej czy później po rozum do głowy i trzeźwo oceni, że

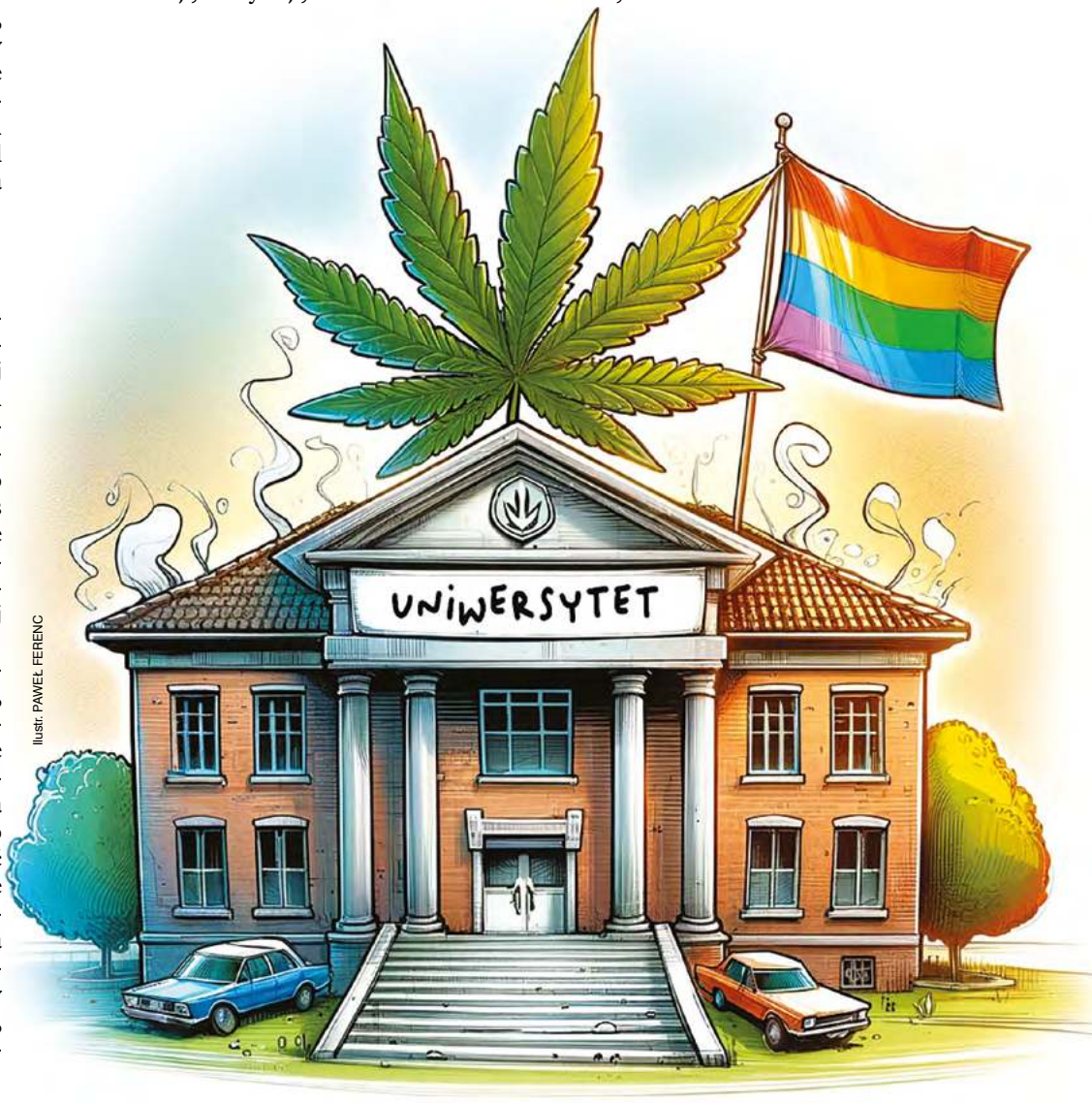

Ilustr. PAWEŁ FERENC

w epoce wiecznych problemów z odpowiednią bazą podatkową warto sięgnąć do kieszeni jaraczy zioła. W jakimś sensie już to czyni, choć półgębkiem i w sposób zakłamany. Ze szkodą dla budżetu, bo na szkoły i energetykę można z konopi wycisnąć o wiele więcej.

Mój znajomy opowiadał, jak kiedyś na imprezie w trakcie pandemii koronawirusa nowo poznana osoba wyciągnęła trawkę. Na pytanie, czy się nie boi, wszak to nielegalne, odrzekła, że ma marihuanę medyczną. I podała mu namiary na odpowiednią klinikę. Kumpel napisał tam na formularzu kontaktowym, że ma problemy ze snem, uiścił – nawet dość umiarkowaną – opłatę za „konsultację" i zanim impreza się skończyła, miał kod e-recepty na konopie.

Na marginesie, w mediach od kilku lat, gdy PiS dopuścił marihuanę medyczną do obrotu aptecznego, toczy się dyskusja, czemu trzeba towar sprowadzać z zagranicy – kiedyś z Kanady, teraz z (tfu!) Niemiec – wszak polscy naukowcy też nie są kijem robieni i mogą prima sort zioło wyhodować, tu płacąc podatki. Byłaby to korzystna współpraca nauki z biznesem, wciąż się wszak tłucze do głów akademików, że mają komercjalizować wyniki badań. No i chorym można by ulżyć, bo pożądany przez nich medykament byłby może (co nie jest skądinąd wcale takie pewne) ciut tańszy.

Z rzeczy zabawnych zastanawiam się, kto w PiS-ie zadbał o to, by trawka w aptece miała potężną moc, która w praktyce jest nieosiągalna dla dilerów. Oczywiście, u dilera jest sporo taniej, ale gram dilerski rzadko stał koło prawdziwego grama, a jakość znormalizowanej, medycznie kontrolowanej marihuany budzi prawdziwy szacunek dla współczesnych zdobyczy nauki!

Jak dla mnie, uczelnie powinny uważać z dwiema rzeczami. Byłabym ostrożna z praktykami, tym bardziej gdy w pobliżu mogą kręcić się niuchające charakterystyczny zapach psy. Nie jestem też pewna, czy to dobry pomysł, by śledzić dalsze losy absolwentów takich kierunków, bo pewnie niejeden i niejedna z nich nieźle się wzbogaci, ale będą tacy, którzy na długo zapamiętają art. 59 ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii: „Kto, w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej, udziela innej osobie środka odurzającego lub substancji psychotropowej, ułatwia użycie albo nakłania do użycia takiego środka lub substancji, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10".

Do znanego hasła „sadzić, palić, zalegalizować" dodałabym: „studiować".

ZUZ

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Jak poinformował kierownik biura delegata Konferencji Episkopatu Polski ds. ochrony dzieci i młodzieży ks. Piotr Studnicki, w 2023 r. diecezje i zakony w Polsce otrzymały łącznie 82 zgłoszenia dotyczące seksualnego wykorzystania nieletnich. Spośród zgłoszeń 35 dotyczyło ofiar, które nie ukończyły jeszcze 15. roku życia. Ksiądz Studnicki zaznaczył, że „w Kościele w Polsce wciąż mamy do czynienia z falą ujawnień, która rozpoczęła się w 2019 roku". Pytanie, kiedy ta fala zatopi kościelną instytucję, wciąż pozostaje otwarte.

✚ 14 lutego w polskim sejmie odbyła się akcja „Nazywam się Miliard", której celem jest nagłośnienie problemu przemocy wobec kobiet. W ramach wydarzenia polityczki i aktywistki zatańczyły w intencji zmiany definicji gwałtu. Happening skomentował za pośrednictwem platformy X ks. Daniel Wachowiak: „Musiały w Popielec zatańczyć w sejmie. A jak. Wyszło mało atrakcyjnie, a ze strony duchowej dała o sobie znać mroczna strona ich wnętrz. Cóż. Świat metafizyczny nie znosi próżni. Jak nie służenie Duchowi Świętemu, to trzeba głupio i banalnie" – napisał klecha. Księdzu podpowiadamy, że post można zrobić sobie również od wypisywania głupot w internecie.

✚ Jak donoszą media, skazany za seksualne wykorzystywanie nieletnich były ksiądz Paweł K. ze Świdnicy (woj. dolnośląskie) po odbyciu kary zaczął pracę w schronisku dla bezdomnych. Według opinii biegłych psychiatrów, psychologa i seksuologa wciąż zachodzi wysokie prawdopodobieństwo popełnienia przez niego czynu zabronionego z użyciem przemocy seksualnej. Ksiądz Paweł K. odsiedział wyrok siedmiu lat więzienia za czyny pedofilskie wobec ministrantów oraz posiadanie dziecięcej pornografii. Duchowny odbywał karę na oddziale wrocławskiego zakładu karnego w Oleśnicy, gdzie kieruje się sprawców lekkich przestępstw z zaburzeniami preferencji seksualnych. W tym czasie nie poddał się terapii dla pedofilów, starał się za to o przedterminowe zwolnienie, które sąd odrzucił jako bezpodstawne. Biegli wskazali wówczas, że przypadek jurnego klechy kwalifikuje go nie do wcześniejszego opuszczenia pierdla, ale raczej do kontynuowania izolacji po odbyciu wyroku – tak się jednak nie stało. Od stycznia tego roku K. znalazł zatrudnienie w schronisku dla bezdomnych prowadzonym przez katolickie Towarzystwo im. św. Brata Alberta. Były ksiądz ma już doświadczenie w kontaktach z biedotą. Na swoje ofiary wybierał dzieci dotknięte ubóstwem, którym w zamian za seks fundował kosztowne prezenty i egzotyczne wycieczki.

✚ Do sądu w Rybniku wpłynął akt oskarżenia przeciwko Rafałowi C., byłemu proboszczowi parafii w Chałupkach, który miał fałszywie oskarżać biskupa i prokuratorów o różne przestępstwa. W tle sprawy pojawiły się łapówki, podszywanie się pod innych oraz romans z szafarzem. Ksiądz Rafał C. przekonywał, że jest ofiarą biskupa Andrzeja Czai oraz byłego kanclerza opolskiej kurii ks. Wojciecha Lippy. Eksproboszcz prezentował wiadomości i nagrania, z których miało wynikać, że duchowni go nękali i składali mu propozycje seksualne. Prokuratura ustaliła tymczasem, że duchowny preparował materiały z pomocą szafarza Rafała S., z którym był w intymnej relacji. Śledczy obu mężczyznom postawili zarzuty m.in. składania fałszywych zeznań w licznych postępowaniach. Księdzu i szafarzowi z parafii w Chałupkach postawiono również zarzut propozycji korupcyjnej. Mieli zaproponować 30 tys. euro biegłemu, by wydał fałszywą opinię o złym stanie zdrowia ks. Rafała C. Oskarżeni zrobili to po tym, gdy śledczy wzięli pod lupę działalność duchownego na wniosek parafian z Chałupek. Sprawa jest w toku.

✚ Nauczycielska komisja dyscyplinarna przy wojewodzie małopolskim zdecyduje o losie księdza katechety, który straszył swych uczniów piekłem, a dziewczynki poronieniem. Do skandalu doszło w jednej z gorlickich szkół podstawowych w listopadzie ubiegłego roku. Klecha straszył dzieci „karą w piekle i diabelską zemstą" za udział w zbieraniu łakoci 31 października. Dodatkowo duchowny sugerował uczennicom, że w Halloween gwałci się kobiety, a w związku z obchodzeniem tej tradycji dziewczynkom w przyszłości grożą poronienia. Ksiądz prorok nie pracuje już z uczniami, o jego dalszej nauczycielskiej karierze zadecydują wyniki kontroli i wnioski z raportu komisji dyscyplinarnej. Na miejsce klechy zatrudniono katechetkę. Można rzec: z sutanny pod rynnę.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl a131345924

To idzie młodość

Piłkarski świat ma nowego boga. Nazywa się Jude Bellingham.

Przez lata było tak: piłkarskie gołowąsy nie miały wiele do gadania. Młodzi zawodnicy na trening taszczyli dla całego zespołu torby ze sprzętem i tak objuczeni odbywali podobną wędrówkę z powrotem do szatni, zbierając z trawy śmieci zostawione przez kolegów. W tejże szatni nie odzywali się niepytani. Wsłuchiwali się tylko uważnie w to, co mają do powiedzenia starsi zawodnicy, zwani powszechnie starszyzną. Czasem polecano im wyczyścić czyjeś buty. Wszystko to miało coś wspólnego z falą w wojsku, która polegała na dręczeniu młodego rocznika rekrutów.

Wojskowa fala w zawodowej armii należy do przeszłości (przynajmniej w drastycznej formie), w zawodowej piłce także, choć co do naszej Ekstraklasy nie jestem już tego taki pewny. Polski futbol pod każdym względem zostaje wiele lat w tyle za Europą.

W piłce mamy nową epokę. Marcin Bułka, niezwykle utalentowany bramkarz OGC Nice z francuskiej League1, wyjechał z Płocka do piłkarskiej szkółki Chelsea Londyn. Wszystko było dla niego nowe. Jak opowiadał w wywiadzie dla Canal+, gdy pojawił się na klubowym parkingu, patrząc na marki stojących tam samochodów, sądził, że zabłądził, bo zaparkowane są tam auta gwiazd. Okazało się, że klubową młodzież stać na takie fury, ale kto opuści się w treningu musi prędko zapomnieć o intratnym zawodzie i kupić coś skromniejszego do jeżdżenia.

Kosztowni chłopcy

Czy dzisiejsza piłkarska młodzież musi – jak kiedyś – trzymać gębę na kłódkę i wykonywać w klubie prace porządkowe? Trudno to sobie wyobrazić, skoro nastolatkowie zaliczani są do największych gwiazd, zarabiają krocie, a kluby gotowe są płacić za młodych zawodników dziesiątki, a nawet setki milionów. Czy ktoś ośmieliłby się posłać po piwo 19-letniego francuskiego napastnika grającego w Bayernie Monachium Mathysa Tela? Klub zapłacił za młodzieńca 28,5 mln euro, wyspecjalizowane agencje obecną jego wartość rynkową wyceniają na 50 mln euro. To już jest pan piłkarz, a nie chłopiec na posyłki.

Do pierwszej drużyny FC Barcelona dopiero przebija się urodzony w Budapeszcie bramkarz Áron Yaakobiszwili. Po ukończeniu słynnej szkółki La Massia podpisał kontrakt w klubie, w którym gra Robert Lewandowski. Angielska gazeta „The Guardian" uznała go za jednego z najlepszych 17-letnich piłkarzy na świecie.

O ile Yaakobiszwili gra w młodzieżowym zespole Barcelony i wielka przyszłość dopiero przed nim, o tyle Hiszpan Gavi, mimo że jeszcze nie ma 20 lat (skończy w sierpniu), jest gwiazdą światowego formatu. Jako 16-latek debiutował nie tylko w jednym z najsłynniejszych klubów, ale także w reprezentacji Hiszpanii. Jeszcze nigdy tak młody Hiszpan nie dostąpił tego zaszczytu.

20-latków, którzy już stali się sławni i piekielnie kosztowni, mógłbym wyliczać długo: Anglik Bukayo Saka, Niemiec Florian Wirtz, Hiszpan Yéremy Pino. 22-letni Chorwat Joško Gvardiol trafił do Manchesteru City za 90 mln euro. Ktoś taki miałby spełniać posługi dla starszych kolegów w klubie?

Uroda po mamusi

Tej wyliczanki chyba wystarczy. Każdy, kto ogląda mecze w największych ligach, sam sporządzi długą listę wybitnych piłkarzy, którzy albo jeszcze nie ukończyli 20 lat, albo niedawno przekroczyli tę granicę. Żaden jednak nie dorównuje 19-letniej gwieździe Realu Madryt. Nie brak fachowców, z wybitnymi trenerami na czele, którzy twierdzą, że najlepszym obecnie futbolistą świata nie jest ani Francuz Kylian Mbappé ani Norweg Erling Haaland (obaj zresztą jeszcze bardzo młodzi), ale odkrycie angielskiej piłki, ofensywny pomocnik Jude Bellingham.

„Przegląd Sportowy" zwrócił się do Międzynarodowego Centrum Studiów Sportowych w Neuchâtel w Szwajcarii z prośbą o przekazanie listy stu najdroższych piłkarzy świata z nadzieją, że znajdzie się na niej ktoś występujący w Ekstraklasie.

Najdroższym obecnie piłkarzem świata jest według renomowanego instytutu właśnie Jude Bellingham, którego wartość oceniono na oszałamiającą kwotę 267,5 mln euro.

Dla graczy Ekstraklasy trzeba było stworzyć osobną tabelę. Na jej czele znalazł się Norweg Kristoffer Velde z Lecha Poznań. Jego wartość rynkowa to 6,6 mln euro. Za najlepszego Polaka Filipa Marchwińskiego (też z Lecha) trzeba zapłacić 5,8 mln euro. Jest różnica.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Skąd w ogóle wziął się młody zawodnik, który 20 lat skończy dopiero w czerwcu, a już uznawany jest za najlepszego i najdroższego futbolistę świata? Jeśli ktoś powie, że zawód piłkarza był mu pisany, będzie miał trochę racji. Jego ojciec, sierżant policji Mark Bellingham, przez ponad dwie dekady grał w piłkę na poziomie amatorskim w ligach od dziewiątej do jedenastej. Przez cały ten czas starał się o profesjonalny kontrakt, ale bez powodzenia.

Od kiedy jego synowie Jude i o rok młodszy Jobe zaczęli chodzić, oglądali ojca na stadionach i patrzyli w niego jak w obraz. Daleko nie musieli jeździć od rodzinnego Birmingham, bo wszystkie amatorskie zespoły, w których grał Mark, miały siedziby w okolicy drugiego pod względem liczby mieszkańców angielskiego miasta.

Ciemnoskóra żona sierżanta Marka, Denise, nie pracowała, zajmowała się chłopcami, ale policyjna pensja wystarczała i na utrzymanie domu na przyzwoitym poziomie, i na futbolową pasję męża oraz synów. Nawiasem mówiąc, Denise jest Angielką, ale kolor jej skóry wskazuje na afrykańskie pochodzenie przodków. Synowie Jude i Jobe odziedziczyli urodę po mamie. Jude jest do niej wręcz łudząco podobny.

Talent po tatusiu

Rodzice zaprowadzili Jude'a do klubu Birmingham City, gdy ukończył dziewięć lat. Tam prędko okazało się, że urodę ma po mamie, ale zamiłowanie do piłki po tacie. Sierżant Mark Bellingham z dumą podpisywał pierwszy, jeszcze uczniowski, kontrakt syna opiewający na jakąś symboliczną kwotę.

Jako 14-latek Jude występował już w drużynie 18-latków Birmingham City. Krótko mówiąc, dzieciak grał z dorosłymi. Gdy ukończył 16 lat, trafił do pierwszego zespołu występującego w Championship, czyli na drugim poziomie rozgrywkowym w Anglii. Przy nazwisku Bellingham często pojawia się przedrostek „naj". Jude jest oczywiście najmłodszym piłkarzem, jakikolwiek zagrał w Birmingham City F.C., i najmłodszym zawodnikiem, który zdobył dla klubu bramkę.

Nie wiem, dlaczego ostatnio nie są pokazywane w telewizji rozgrywki Championship. Kiedyś prezentowano przynajmniej wybrane mecze. Jest to jedna z najbardziej wymagających od piłkarzy pod względem fizycznym lig europejskich. Nie chodzi nawet o liczbę spotkań. Zacięta rywalizacja o awans do Premier League, czyli piłkarskiego raju, sprawia, że walczy się o każdą piłkę od pierwszej do ostatniej minuty, a ostre zagrania na pograniczu faulu, a nawet poza tą granicą, są tam codziennością.

Championship prędko okazała się dla Bellinghama za mała. W 2020 r. podpisał kontrakt z czołowym zespołem Bundesligi Borussią Dortmund. Suma transferu – 25 mln euro. Przez klub z Dortmundu przeszło wielu znakomitych zawodników, przede wszystkim Erling Haaland, nie wspominając już o Robercie Lewandowskim, Jakubie Błaszczykowskim i Łukaszu Piszczku.

Do Dortmundu Jude nie pojechał sam. Towarzyszyła mu matka. Problem w tym, że chłopak nie umie gotować, a bardzo nie lubi chodzić do restauracji. Gdyby nie Denise, umarłby chyba z głodu.

W Bundeslidze Jude szybko znalazł swoje miejsce i strzelał piękne bramki, choć akurat nie to jest głównym zadaniem ofensywnego pomocnika. Z Borussią zdobył Puchar Niemiec, poznał też smak Ligi Mistrzów. Było jasne, że zgłosi się po niego ktoś z samego szczytu europejskich klubów.

Latem 2023 r. ogłoszono, że Bellingham przechodzi do Realu Madryt za 103 mln euro. Madrycki klub zapłacił za niego więcej, niż swego czasu wyłożył za Walijczyka Garetha Bale'a i Portugalczyka Cristiana Ronaldo, a były to przecież rekordowe transfery. Nie pożałował, bo Jude od razu wpisał się w zespół i stał się najważniejszym jego graczem.

Skandalista

Jude Bellingham jest już tak znaną osobą, że dziennikarze ze wszystkich krajów starają się zdobyć o nim jak najwięcej informacji. Nie jest to proste. Piłkarz bardzo chroni swoją prywatność, niechętnie udziela wywiadów, chyba że musi, bo obligują go do tego przepisy lub proszą sponsorzy. W każdym razie tyle wiadomo, że nie ma dziewczyny. Futbol tak go pochłania, że nie ma czasu na amory.

Bellingham jest typowym introwertykiem, co nie znaczy, że nie ma swojego zdania. Niedawno znalazł się w centrum skandalu. Chodziło o mecz Realu Madryt z Getafe. Po jego zakończeniu miał krzyknąć w stronę Masona Greenwooda: „Ty gwałcicielu!". Greenwood był napastnikiem Manchesteru United. Podobnie jak w przypadku Bellinghama, określenia wielu jego poczynań poprzedzał przedrostek „naj", m.in. był najmłodszym piłkarzem Manchesteru United reprezentującym klub w Lidze Mistrzów.

W styczniu 2022 r. Greenwood został aresztowany pod zarzutem napaści seksualnej na kobietę, gwałtu i grożenia jej śmiercią. Co prawda w sądzie zarzuty zostały oddalone, ale władze klubu zapowiedziały, że utalentowany młodzieniec już nigdy nie zagra w czerwonej klubowej koszulce i wypożyczyły go do Getafe. W La Liga spotkał Bellinghama…

Zawodnikowi Realu Madryt groziła kilkumiesięczna dyskwalifikacja, ale Getafe i sam Greenwood wycofali zarzuty. Jude Bellingham i tak nie zagra kilku spotkań. Musi pauzować ze względu na skręcenie kostki. W meczu Realu Madryt z Gironą strzelił dwie bramki, ale później utykając, zszedł z boiska. Nie wiadomo dokładnie, kiedy na nie wróci.

A co słychać u młodszego brata Jude'a? Na razie Jobe gra w Championship, w klubie Sunderland A.F.C. Jak już pisałem, nie mam jak oglądać tych rozgrywek. Musi radzić sobie nieźle, skoro dziennikarze rozpisują się, że w letnim okienku transferowym kilka znanych klubów, wśród nich Lazio Rzym, szykuje się do finansowej walki o młodego napastnika.

Tyle napisałem o młodzieży w wielkim futbolu, ale starszyzna jeszcze się trzyma. Nowi właściciele Chelsea Londyn, też przecież nie byle jakiego klubu, budują młody zespół. Nie szczędzą na to pieniędzy – w ostatnim czasie wydali na transfery 2 mld funtów. Wciąż pojawiają się nowi zawodnicy, nie brakuje nastolatków, choćby Brazylijczyk Deivid Washington, Ukrainiec Mychajło Mudryk czy Francuz Lesley Ugochukwu. Kogoś takiego jak Jude'a Bellinghama jednak nie widać. Klub nie spisuje się na miarę oczekiwań i włożonych w niego pieniędzy. Podporę defensywy i jej dyrygenturę stanowi wciąż Thiago Silva. We wrześniu Brazylijczyk zostanie 40-latkiem.

Nie sądzę, żeby Thiago Silva posyłał młodzieniaszków po piwo, tym bardziej że prowadzi bardzo zdrowy tryb życia, nie pije alkoholu, czemu – jak twierdzi – zawdzięcza swoją tak długą karierę na najwyższym sportowym poziomie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego, Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 21.02.2024 r.**

eprasa.pl a131345924

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Profesor Andrzej Nowak czytał po niemiecku dzieło Friedricha Augusta Wolfa, dzieląc na czworo jego poglądy o „Iliadzie” i „Odysei”.

– Homer jako plagiator, niesłychane… – zamyślił się profesor Nowak i spojrzał ukradkiem na profesora Ryszarda Legutkę, który niedbale przeglądał dział zagraniczny w „Le Soir”.

– Daremne dylematy – skrzywił się profesor Legutko. – Dzisiejszych barbarzyńców obchodzi to tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Profesor Nowak żachnął się na banalność Legutkowego porównania.

– Kiedyś fascynowała mnie zmienność pojęcia barbarzyńców – rzekł powoli. – I jego relatywizm. Dla Prasłowian Scytowie byli takimi samymi barbarzyńcami jak Prasłowianie dla Scytów.

– Ale nie można tego powiedzieć o Hunach i Cesarstwie – odparł profesor Legutko. – Historia pokazuje, że przeważnie wiadomo, gdzie jest prawo i kultura, a gdzie dzicz.

– Masz na myśli tego… – profesor Nowak wykrzywił usta jak po przełknięciu nieświeżej ostrygi – …Tarczyńskiego?

– Och, nie tylko. – W odpowiedzi profesor Legutko machnął ręką. – Mam na myśli całą tę schyłkowość. Przecież Kaczyński już nad niczym nie panuje.

– A może panuje, lecz stracił… – profesor Nowak szukał słowa – …właściwy kierunek? Nie ma już busoli.

– Jeśli tak, to odsuwanie ludzi, którzy tę busolę mają, jest co najmniej bezrozumne – spuentował profesor Legutko, odkładając gazetę.

– Nikt nie obiecywał, że wódz zawsze będzie postępował rozumnie.

Obydwaj profesorowie ciężko westchnęli, zastanawiając się nad przyszłością ugrupowania, z którym przed laty się związali. Ale przecież nie na śmierć i życie.

– Historia, do której niedawno się odwołałeś – przerwał ciszę profesor Nowak – udowadnia, że po czasie barbarzyńców nadchodzi czas opamiętania i odrodzenia.

– Nie mam czasu czekać na upadek Tarczyńskich i Czarnków – odpowiedział z goryczą w głosie profesor Legutko.

– Sądzę, że zbyt jednoznacznie oceniasz Czarnka. On tylko udaje takie chamidło jak Tarczyński. Wie, że to jedyny sposób na to, żeby skutecznie przejąć władzę po Kaczyńskim. Niech Tarczyńscy wezmą się za łby z Morawieckimi, a Czarnek poczeka, aby wejść na pobojowisko.

– Oby tylko nie przeoczył stosownej chwili – zmartwił się profesor Legutko, znów sięgając po „Le Soir”. Tym razem zerknął na dział sportowy.

– Tak… – zamyślił się profesor Nowak. – W tym fachu bardziej niż naga siła liczy się właściwy moment jej użycia.

Celna myśl – stwierdził. – Co najmniej na miarę rozważań Friedricha Augusta Wolfa.

Z nagrania cyfrowego spisał
PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA z entuzjazmem ogląda protesty rolnicze. **JOANNA SENYSZYN** ma z rolnikami wiele wspólnego.

Wołk-Łaniewska: – Mamusia mnie skarciła, że jesteśmy bardzo kobiece, bo gadamy o gotowaniu i facetach, a kogo to w ogóle obchodzi. O polityce kazała więcej.

Senyszyn: – No i słusznie, bo jest o czym.

– To zacznijmy od rolników, którzy wyszli na drogi.

– Czuję się kompetentna w temacie, albowiem pisałam doktorat na temat ekonomicznej efektywności tuczu trzody chlewnej…

– Pamiętam, pamiętam. Mówiłaś o tym w sejmie: „Znam się na świniach i właśnie dlatego nie dziwi mnie zachowanie choćby wicemarszałka Terleckiego”. Moim zdaniem było to cokolwiek obelżywe.

– Dla świń, masz na myśli?

– Owszem. Sama mi mówiłaś, że świnie to urocze zwierzęta.

– I najbardziej podobne do ludzi.

– Ale to jednak nie znaczy, że zachowują się jak politycy. Ale przechodząc od świń do ludzi: oczarował mnie transparent z jednej z demonstracji. Na traktorze John Deere, wartym co najmniej ćwierć miliona złotych…

– A ty skąd to wiesz?

– Byłam naczelnym pisma „Traktor”. Z podtytułem „Country life & business magazine”, żeby było szykownie. Więc jestem biegła w szykownych traktorach. Na inkryminowanym traktorze był transparent: „Putin, zrób porządek z Ukrainą i Brukselą, i z naszymi rządzącymi”, co „Polityka” skwapliwie opublikowała, ale nie ośmieliła się wszakże napisać, że rolnicy to ruskie onuce. Joanna Solska zostawia takie niedomówienie: „Zadymy rolników. W czyim interesie ten chaos?” – zapytuje w tytule, ale w tekście nie odpowiada. Tylko insynuuje, pochylając się nad rolnikami, wykorzystywanymi przez „krzykaczy”, którzy chcą „wyciągnąć rękę po wsparcie”. I dodaje, że protestują z nudów, bo „w lutym jeszcze na pole się nie wyjeżdża”. Ale wprost, że to ruska agentura, nie napisała. Uważam, że to pewien postęp.

– W porównaniu z czym?

– Z tym na przykład, jak media mainstreamu pisały o protestach organizowanych przez Andrzeja Leppera. Wtedy to klasistowskie obrzydzenie aż chlupało, a dziś udają, że wcale chamem nie gardzą, tylko się o niego troszczą.

– Słusznie zauważyłaś, że tylko udają. Zmieniając temat: czy nie ujmuje cię naiwność prezesa PiS, który myślał, że sejmikowa dieta skłoni Monikę Pawłowską do odrzucenia wielokrotnie większej sejmowej kasy i immunitetu?

– I teraz, biedula, będzie płakała w poślej ławce, że nikt jej nie lubi.

– Lepiej płakać w mercedesie niż w pekaesie. Pawłowska, jako niezrzeszona, dostanie miesięcznie ze dwa tysie ekstra do kieszeni.

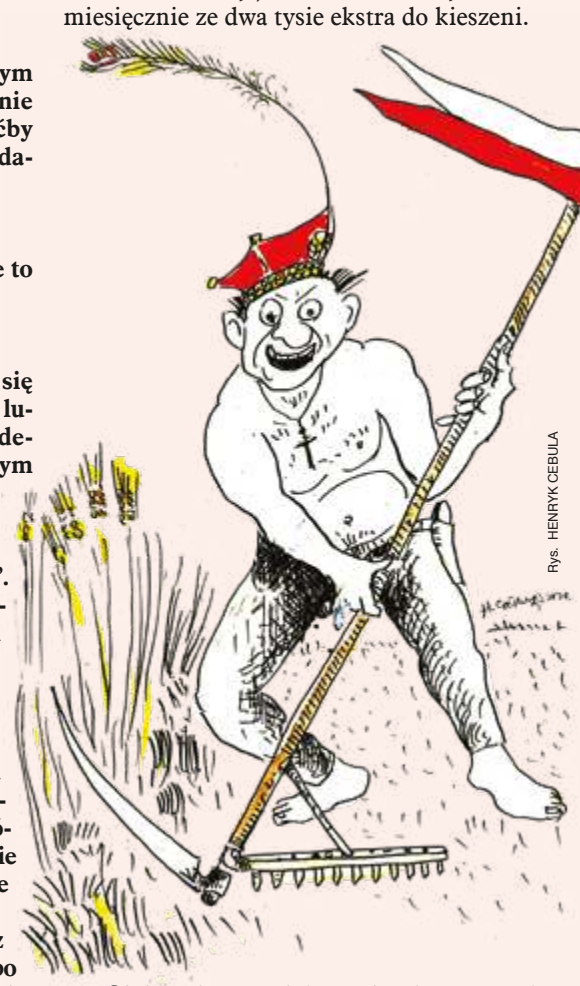

Rys. HENRYK CEBULA

– Słabo wierzę w jej trwałe niezrzeszenie. Zakładamy się, że trafi do Konfederacji?

– To też nie jest wykluczone. Wtedy mogliby wyrzucić Brauna i nawet jakby zabrał ze sobą swoich trzech wielbicieli, nadal mieliby klub parlamentarny.

– Ale muszę ci wyznać, że posłanka elektka Pawłowska mi szczerze zaimponowała. Nic kobity nie peszy. Oblężona przez dziennikarzy po odebraniu kwitu od Hołowni ogłosiła z dumą, że nadal czuje się członkiem Prawa i Sprawiedliwości, acz uważa, że próba siłowego wprowadzenia Wąsika i Kamińskiego do sejmu była niewłaściwa, bo ona zawsze „murem za polskim mundurem”…

– Jest wyjątkowo bezczelna, bo w Biedroniowej Wiośnie przeszła szkołę, że liczy się tylko szmal. Kaczyński prosił i groził po próżnicy, skoro nie ma już czym kupczyć. Przypomniało mi się, jak pewien szlachcic po premierze „Halki” nie mógł zrozumieć, o co ta cała operowa heca, bo przecież dałby panicz Halce krowę i byłoby po krzyku. A że Kaczyński nie ma dojnych krów, to ma neoposłankę.

– I jeszcze czarująca pani Pawłowska zapytana, czy nie obawia się, że zostanie zapamiętana jako „najbardziej obrotowa posłanka III RP”, odrzekła rezolutnie, że nie wie, skąd taki zarzut. I w ogóle nie była zawstydzona. Ani trochę.

– Wstydzić się powinna, jak przechodziła do PiS. Teraz jej pazerna postawa to woda na młyn koalicji 15 października.

– A niby na co ta woda Tuskowi? Ma 266 głosów i może sobie sygnalizować cnotę w formie moralnego potępienia nielojalności. Jakby miał 231, to co innego.

– Duda właśnie traci uzasadnienie dla swoich wet, które zapowiedział, bo rzekomo nie może być w sejmie 458 posłów. No to ma już 459, a jak kolejny poseł zajmie miejsce po Wąsiku, będzie upragniony przez prezydenta komplet śrubek w maszynce do głosowania. A lojalność…

– À propos lojalności: rozczulił mnie Joe Biden, który postanowił odciąć się od Trumpa i przypomniał, że w historii NATO artykuł 5. został użyty tylko raz, po to by „sojusznicy stanęli ramię w ramię ze Stanami Zjednoczonymi po atakach z 11 września”. Zapomniał nadmienić, że ramię w ramię najechali Irak, który nie miał z atakami z 11 września nic wspólnego i nie miał też mitycznej broni masowego rażenia. Wyście też najeżdżali, nie wypominając.

– Jacy „wy”?

– A byłaś posłanką w 2003 r.?

– Byłam, ale nikt mnie nie pytał. Zresztą nie tylko o Irak. Jak pierwszy raz weszłam do sejmu, myślałam, że będę się zajmować gospodarką, pracować w komisji budżetowej.

– Jako profesorzyca od ekonomii bądź co bądź.

– No właśnie. A tymczasem dostałam komisje łączności z Polakami za granicą i ochrony środowiska. Bo było nas za dużo i debiutanci musieli się posunąć…

– Jak to „za dużo”?

– Tak usłyszałam na pierwszym posiedzeniu klubu. W sali Kolumnowej, bo nigdzie indziej byśmy się nie zmieścili, było 270 posłów i senatorów SLD. I Szmajdziński ogłosił z niesmakiem, że w takim harmiderze w ogóle nie da klubu prowadzić, a on pamięta, jak w 1991 r. był taki miły 60-osobowy klub z Kwaśniewskim na czele. Powiedziałam wtedy głośno, bo było już po pierwszych cięciach budżetu: „Róbcie tak dalej, to za cztery lata będzie znowu 60 posłów”. Przeszacowałam o pięciu.

– Wtedy jebałam SLD, ile wlezie: za wojnę, za włażenie w dupę Ameryce, za neoliberalną politykę gospodarczą. Ale przyznam szczerze, że teraz mi tamtego Sojuszu trochę brakuje.

– Więc niosę ci dobrą nowinę: SLD wraca. W wyborach do Rady Warszawy startujemy jako komitet Stowarzyszenia Lewicy Demokratycznej. W skrócie SLD.

– A kto na prezydenta?

– To za tydzień.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 287

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl a131345924